

R. VI DZISNA 1936 / 37.

NASZ DWUMIESIĘCZNIK
NAUKOWO
LITERACKI
I SPOŁECZNY **GŁOS**

ORGAN MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ



PANSTWOWE GIMNAZJUM
MKS. G. P. TRADOWICZA.

Treść numeru I.

1. Od Redakcji.
2. Praca jako idea.
3. Dziś jestem sam.
4. Świtez w nocy.
5. Białoruś.
6. Jeszcze o uprawie Inu na Dziśnieńszczyźnie.
7. Tegoroczna klęska posuchy w pow. dziśnieńskim.
8. Prawda o naszej wsi.
9. Noc świętojańska w pow. brasławskim.
10. Wywiad z p. burmistrzem m. Dzisny.
11. Dział dla młodszych:
 - a) Pole bitwy pod Stoczkiem.
 - b) Na feście.
 - c) Gdy byłam jeszcze maleńka.
12. Sport:
 - a) Już latam!
 - b) Coś niecoś o zawodach.
 - c) Dlaczegośmy przegrali.
13. Z rozważań „człowieka dojrzałego“.
14. Z Dzisny — w świat!
15. Z wystawy szkolnej.
16. Życie organizacyjne.
17. O naszej świetlicy.
18. Ile i co czytamy.
19. Nowości biblioteki szkolnej.
20. Humor i satyra:
 - a) P. prezes mówi...
 - b) Echa z nad ulic Dzisny.
21. Rozrywki umysłowe.
22. Kalendarz reportera.
23. Odpowiedzi Redakcji.
24. Regionalny dodatek muzyczny.

NASZ GŁOS

DWUMIESIĘCZNIK NAUKOWO-LITERACKI i SPOŁECZNY
ORGAN MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

JÓZEF PIŁSUDSKI

„Pisma-Mowy-Rozkazy“

T. V str. 201.

Z rozkazu noworocznego do wojska.

„... Wszyscy obywatele wolnej Polski muszą wykorzystać czas pokoju i zdobyć się na wielki wysiłek woli, na duże natężenie pracy, aby w krótkim czasie dogonić świat cały i stanąć, jako równi, w wielkiej rodzinie wolnych narodów...“



230938

Od Redakcji.

Zgodnie z tradycją numer, którym rozpoczynamy nowy rok wydawnictwa „Naszego Głosu“, zawierać musi ogólne wytyczne planu, jaki stawiamy sobie do zrealizowania w ciągu roku. To też i u progu siódmego roku pracy uważamy za obowiązek rzucić słów parę na ten temat.

Nie chodzi nam o nakreślenie papierowego planu, bo życie szkolne nie jest obrazem stałym, a zmienia się jak wielobarwna wstęga. Słowem, nie wiemy, jakie problemy mogą się wysunąć na czoło. Na jedno tylko musimy zwrócić uwagę, to jest na zachowanie pewnych rysów stałych, które reprezentowane były tradycyjnie. Zasadniczą więc osnową treści „Naszego Głosu“ będzie obraz środowiska, z którego w przeważnej części pochodzimy—wieś kresowa. Podania, legendy, zwyczaje i obyczaje ludu białoruskiego powinny znaleźć się na łamach naszego pisemka jako barwna kronika tego, co już z wolna zanika i traci swą barwę życia. Powinniśmy być dumni z tego, że posiadamy własny znicz kultury na Kresach, który płonie od lat siedmiu wnosząc skromnie do skarbnicy wiedzy obraz naszej dzielnicy, stworzony przez nas samych.

W ten sposób będziemy dążyli wciąż, aby nie uronić słowa z testamentu Tego, który wysiłkiem pracy własnej dał nam przykład, jak mamy budować trwałe fundamenty pod gmach potęgi państwowej. Tak jak w zeszłym roku w szeregu artykułów rozpamiętywaliśmy nad wielkością Wielkiego, tak i w tym roku pójdziemy śladem, wytyczonym przez Marszałka z myślą, że Jego idee — to nasze idee. Resztę dopowie czas i warunki.

CZCIGODNEMU I KOCHANEMU
P. DYR. DR. TADEUSZOWI STANIEWSKIEMU
W DNIU JEGO IMIENIN
REDAKCJA „NASZEGO GŁOSU“ W IMIENIU
CAŁEJ MŁODZIEŻY
SKŁADA NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA.

Dar. p. A. Budziszca
Wilno
20 V - 39.

Praca jako idea.

(Wyjątek z referatu, odczytanego na zebraniu Sodalicji Mariańskiej).

Zagadnienie pracy w życiu człowieka jest czynnikiem pod wieloma względami budującym tak dla jednostki jak i dla społeczeństwa. Już w starożytności mawiano: „Módl się i pracuj“ łącząc w ten sposób czynnik religijny z czynnikiem pracy. Sięgając myślą do Starego Testamentu przypominamy sobie nakaz Boga, dany Adamowi i Ewie: „będziecie w pocie czoła pracować“. Stąd wniosek, że hasło pracy jest bardzo starym zagadnieniem w życiu ludzkości. Przez jednych praca uważana była za święty obowiązek, przez drugich — za karę. W podziemiach greckich, jak głosi starożytny mit, Syzyf miał za karę wtaczać ciężkie kamienie w górę na to, aby potem spadały.

Skąd się bierze pojęcie pracy w życiu człowieka? — Człowiek bardzo pierwotny, który nie miał jeszcze kultury duchowej, ani materialnej za sobą, a żył w stanie półdzikim, miał do pokonania bardzo wiele trudności walcząc z nieprzychylną mu przyrodą. I tak chcąc znaleźć dla siebie pożywienie, musiał upolować zwierzę, aby zdobyć sobie w ten sposób prymitywne warunki bytu. Stąd pochodzi przekonanie, że praca ludzka jest sprawą jego bytu, bo bez pracy człowiek marnie by zginął. To samo jest w życiu zwierząt. Ten rodzaj pracy wynika z instynktu samozachowawczego.

Na wyższym szczeblu życia umysłowego praca ludzka dotyczy ważniejszych spraw np. kształcenia swego umysłu i serca. Tu mamy do czynienia z innym rodzajem pracy. Człowiek, który ma ambicję, będzie starał się pozostawić po sobie ślad kultury umysłowej zdobywając się na wysiłek, który pozwoli wyrazić uczucia i myśli prozą lub wierszem. Taki początek miała każda modlitwa, którą pierwotny człowiek zasyłał do Boga w chwilach wzniesienia religijnego. Praca ta często bywa połączona z wysiłkiem woli i samozaparciem. Przykładem może być średniowiecze, gdzie zakonnicy zamknięci w celach klasztornych ćwiczyli ducha swojego, aby tym samym zbliżyć się do Boga i zjednoczyć się z Stwórcą Najwyższym. To jest drugi rodzaj pracy umysłowej, polegający na tym, aby siebie i innych uszlachetnić i przeanielić.

Trzeci rodzaj pracy jest przeznaczony dla zbiorowości. W tym wypadku człowiek musi stanąć na wyższym szczeblu rozwoju, aby móc zrozumieć, co to znaczy praca dla idei. Taką pracą odznaczali się ci, którzy chcieli poprowadzić ludzkość do szczęścia. Z tym ro-

dzajem łączy się poświęcenie. Taki był Sokrates, który dążył do wydobycia myśli ludzkich metodą dyskusyjną. W Polsce taką pracę wykonywał ksiądz Piotr Skarga, który uświadamiał szlachtę, jak ma żyć, aby uchronić Polskę od zguby i rozbiorów. Ideałem jego był człowiek bez wad i słabości charakteru. Takimi byli biblijni prorocy, którzy karcili naród pracując nad ich moralnością. W Polsce podobną rolę odgrywali trzej wieszczowie.

Sodalicja Mariańska ma za swój obowiązek szerzyć moralność w najidealniejszym tego słowa znaczeniu nie tylko wśród swych członków, lecz także dokoła najbliższego otoczenia. Ponieważ niedościgłym wzorem chrześcijanina jest życie Chrystusa Pana, więc należy posłuchać przypowieści Jego. Wiemy, że Chrystus najchętniej obcował z ubogimi i pogardzanymi. Wiemy, że będąc małym dzieckiem wychowywał się pod kierunkiem św. Józefa, stolarza. Poszanowanie pracy głęboko tkwiło w Jego duszy, pogardzał bowiem ludźmi, wyzyskującymi pracę innych. Przypominamy sobie przypowieść o Samarytaninie, który nawet w sobotę niósł pomoc nieszczęśliwemu — to znaczy, że dzień odpoczynku świątecznego nie ma być dniem lenistwa religijnego.

Tak więc praca, jak to wyżej przedstawiłem, może mieć trzy etapy doskonałości. (1) praca w tym celu, aby zachować swój byt przed nieuniknioną śmiercią; (2) praca nad udoskonaleniem duszy, wzlatującej w sferę ideału, i wreszcie (3) męczeństwo dla idei, dokumentujące przed światem, że materia może zginąć, ale idea jest nieśmiertelna.

Pamiętać należy, że idea może być także praca.

J. Bujonek kl. VIII.

Dziś jestem sam.

*Oparty duszą o wezgielnie czasu,
w ciszy toń senną zaklinam siebie,
o los kamienny myśl zawieszam,
a nędzę bytu kryję...*

w lodzie piersi.

*Zakrzepł świat w koło i jadem truje ducha,
co serce me z brązu — tęsknoty zalał fala,
a wokół pusto, ciemno i cisza złowroga,
tylko czas złowieszczę zawisł nad mą głową.*

Ach!... któż wbije swe oko w srebro moich oczu,
 któż w uścisku stopi dłoń moją ze stali?
 ... nikt...
 ja losu żelaznego więzień
 na próżno oko rozpalam goryczy łez falą.

Skrzydło mej myśli strzaskalem za młodu
 i ducha z niej wyrwałem i precz odrzucilem.
 A dziś?...
 ...stoję z zbiełatą z tęsknoty żrenicą
 Za czym?...
 ...za czymś nieznanym,
 ...za czym nikt nie goni.

J. Bujonek kl. VIII.

Świtez w nocy.

Fo modrych fal równinie powoli księżyc płynie,
 Dyszą spokojem lasy, okryte siwą mgłą —
 Bóg z niewidzialnej dłoni gwiazdy złociste roni
 W jeziora lśniące dno.

W błękitnej ciszy słyhać, jak las się modli z cicha,
 I serce dzwoni w piersi jak rozhuśtany dzwon;
 Wsłuchany w pieśń wieczoru ktoś błądzi wokół boru —
 Szept rośnie ze wszech stron.

To płynie gdzieś tęsknota — duch Zana i Czczota,
 Maryli słodki śpiew;
 — Adamie smutnolicy, czy zbędziesz się tęsknicy,
 Co płynie pośród drzew — — ?

To Świtez w swojej głuszy ukryła skarb twej duszy,
 I cząstka twoich marzeń w głębinie sonej łka...
 Tu niegdyś śród zabawy przepalił ból cię krwawy
 W miłości gorzkich łzach — — —

Śpi Świtez modrooka — mknie księżyc po obłokach
 Przez bieżnię nieba w skok.
 Po szklistej wód równinie nić wspomnień z łzami płynie,
 Porywa tęskny wzrok.

Nowogródek, 1936.

D. M. Kasaty kl. VII.

Białoruś.

*Kocham cię smutna, zapomniana ziemio,
Twój senny błękit, zadumane bory,
Co w melancholii pod chmurami drzemią,
Twoją rolę czarną, piaski i ugory.*

*W dni zadeszczone i ranki słoneczne,
W skwarne południa i o siwym zmroku,
Wśród nocy czarnej i w księżycu mlecznym —
Najdroższa jesteś — wśród gwiazd i obłoków.*

*Lniane koszule, sznurkiem przepasane
I łapcie z kory, kratkowane chusty,
Cicho grające w kościółku organy,
Festy trzydniowe, święta i odpusty.*

*Radość wieczornic i rzewne wesela,
Ciemny zabobon, pługi twe i brony,
Na polach wiośnią pączkujące ziela
I wzrok posepny, cichy, zamyślony*

*Ludzi spokojnych, zatroskanych w znoju —
Kocham to wszystko i czuję to w sobie
...i co dzień we mnie sny się wieszczą roją,
Że życie moje, ziemio, oddam tobie.*

D. M. Kasaty kl. VII

Jeszcze o uprawie lnu na Wileńszczyźnie.

Len, ogrodnictwo i mleczarstwo są dziś najważniejszymi gałęziami dochodowymi w rolnictwie na naszym terenie. Zboże nie jest popłatne w obecnych czasach. Kryzys obniżył ceny na produkty pierwszej potrzeby. Dlatego też rolnik nie mając żadnych poważniejszych dochodów musiał z konieczności zmienić system gospodarki. W ogóle musiał przystosować się do nowych warunków. Rolnik musiał mieć jakieś stałe i pewne (choćby nawet i małe) źródło do-

chodów. Znalazł je początkowo w mleczarstwie. I rzeczywiście gospodarstwa mleczarska dała wkrótce poważne dość wyniki. Jednakże to było nie wystarczające. Dla mas ludności wiejskiej mleczarnia dawała bardzo mało. Później chwycono się po majątkach ogrodnictwa. Najpóźniej zaś, bo zaledwie parę lat temu, zwrócono uwagę na len. Uprawa lnu stała się powszechną. Mógł go bowiem siać każdy: zarówno gospodarz „mały“ jak i „duży“. Zasiewano przeto nim prawie jedną czwartą część roli. Wileńszczyzna zmieniła się podczas lata z białej na niebieską. Niebo było w górze i w dole.

Len okazał się najpopłatniejszy. I cóż się stało potem? — Wieśniacy nie umieli lnu przerabiać. Włókno było złe, zaledwie drugiego gatunku. Dlaczego? — Bo stary przedwiekowy system przeróbki okazał się nie wystarczający. Prawie zawsze włókno po przeróbce na wsi było przebite w środku. Było to skutkiem złego trzepania... Takie włókno na pół przebite szło już do drugiego gatunku, i stąd powstała bardzo duża strata, bowiem faktycznie wyrzucano prawie połowę włókna.

Żeby temu zapobiec, należy inaczej trzepać len (szczególnie zaś nie rwać go, jak to praktykuje się u nas). Do tego są potrzebne maszyny. Maszyna wprawdzie jest dość droga; żaden średni rolnik nie jest w stanie jej kupić. Z tego więc powodu powinno się urządzać wzorowe suszarnie lnu. Społeczeństwo musi to zrozumieć i wydatnie popierać takie przedsiębiorstwa, bo to leży w jego interesie.

Wielkim jeszcze złem jest to, że handel i skup lnu, względnie siemienia jest w ręku drobnych kupców. Na tym rolnik również traci, bo kupiec musi także zarobić. Dobry len jest bardzo drogi, ale ta transakcja, to przechodzenie z rąk do rąk obniża, ma się rozumieć, jego wartość dla rolnika.

W tym wypadku wyjściem jest jedynie spółdzielnia. Tych jest wprawdzie mało, ale zawsze mogłyby prowadzić skupno lnu. Większość jednak rolników idzie na przekór i woli len sprzedawać drobnym kupcom. Dlaczego? — Bo tak robili ich ojcowie. W ten sposób przez taką nieumiejętną transakcję traci się bardzo dużo — to się liczy na miliony. Państwo to zrozumiało i dlatego też zabrało się energicznie do tępienia zła. Wszelkie jednak próby na tym polu okazały się bezowocne bez wydatnej i chętniej współpracy ogółu społeczeństwa. To stosuje się zaś najwięcej do nas, do Kresów wschodnich. Na czym polega pomoc państwa? — Przede wszystkim na popieraniu przedsiębiorstw lniarskich, następnie na zorganizowaniu bezpłatnych kursów. Takimi np. są „Kursy brakarzy lnu“ rokrocznie organizowane w jesieni. Można bowiem zepsuć nie tylko włókno, ale i słomę lnianą.

W ogóle cała uprawa lnu jest bardzo skomplikowana i wymaga znacznej pieczy. Np. należy zwracać baczną uwagę, by jeszcze na polu rdza nie zniszczyła zasiewu. W tym wypadku należy czym prędzej len wyrywać, chociaż by był zielony, nie nadający się na siew i zamoczyć go w wodzie. Woda również musi być odpowiednia, a więc przede wszystkim musi być stojąca i tłusta, bo wtedy włókno ma lepszą wagę. Z wody bieżącej włókno wychodzi wprawdzie bielutkie, ale zato lekkie. Najczęściej więc zatłuszcza się wodę pod len nawozem. Po zamoczeniu lnu należy zwracać uwagę, by nie zgnił. Badanie stanu zamoczonego lnu wymaga również specjalnej umiejętności. Sposobów jest kilka: jeden to jest ten, że patrzy się, dopóki nie ukażą się pęcherzyki na zakwaszonej wodzie. Wtedy len można wyjmować. Długi polega na uderzaniu wierzchołkami lnu o wodę w sadzawce. O ile włókno odłączy się, to jest dobre. Są jeszcze i inne sposoby.

Po wyjściu z wody len rozściela się gdzieś na polu, najlepiej na rżysku, dlatego by nie dotykał zbyt często ziemi. Może bowiem wtedy zgnić. Jednym słowem tych komplikacji ze lnem jest bardzo dużo i to wszystko kosztuje, ale za to później się opłaca w dwójnasób.

Nie mogę tu podać wszystkich sposobów uprawy i przeróbki lnu; na to trzeba, zresztą, fachowej wiedzy. Scharakteryzowałem tylko najważniejsze wady tej całkiem odrębnej gałęzi rolnictwa. Podkreślam więc jeszcze raz, że dobra przeróbka słomy i wzorowe suszarnie muszą stanąć koniecznie tu u nas na Kresach wschodnich. To jest pierwsza i najbardziej paląca potrzeba najbliższej chwili.

Pol.

Tegoroczna klęska posuchy w powiecie dziśnieńskim.

Zawdzięczając dobrym plonom, jakie przyniósł 1935 r., rolnik dziśnieński potrosze już zapomniał o kryzysie. Niejeden z zamożniejszych pozwolił sobie na kupno roweru lub nawet takiego „luksusu” jak detefon. Lecz już z nastaniem wiosny, która wyjątkowo w roku bieżącym była kapryśna i wczesna, poczęli rolnicy przypominać lata nieurodzaju. Zbliżał się czas pierwszych posiewów, lecz częste ranne przymrozki, które dochodziły nieraz do -10°C , stały temu na prze-

szkodzie. Gdy ustały przymrozki, rozpoczęła się posucha, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Najbardziej od posuchy ucierpiały powiaty: dziśnieński, brasławski i postawski.

Ozimina skutkiem wiosennych mrozów była stosunkowo bardzo rzadka, a z powodu braku deszczu słoma i kłos też były liche. W porównaniu z ubiegłymi latami zbiory tegoroczne przeciętnie są na obszarze całego powiatu o 50% mniejsze. Rolnik, posiadający 10 ha ziemi, miał zwykle około 40 kop żyta, zaś w roku bieżącym zaledwie około 20 kop. Zbiory oziminy odbyły się w połowie lipca, więc o miesiąc wcześniej.

Posiewy jare są o wiele gorsze, niż ozimina. Większość rolników zasiała ziarno wczesną wiosną do wilgotnej ziemi twierdząc, że im wcześniej, tym pewniejszy plon. Jednak wygrali ci, którzy czekając przez maj i czerwiec na upragniony deszcz zatrzymali nasiona na przyszły rok. Najbardziej od posuchy ucierpiały grunty piaszczyste i gliniaste, które wyglądały aż do czasu zbiorów prawie jak ugór. Zwłaszcza rośliny strączkowe, jak groch, wyka, w niektórych okolicach zostały w 100% wypalone. Tylko w okolicach nizinnych len i owies były dobre, 70%-we. Ogólnie zbiory jare są gorsze o 70%. Łąki także są o 50% gorsze, oprócz drugiego pokosu koniczyny. Ze względu na przewidziany brak pokarmu już od wczesnej jesieni zaczęli wieśniacy masowo sprzedawać bydło, co spowodowało zniżkę cen, zaś cena zboża stopniowo się podnosi.

Ogrodnictwo tegoroczne przeważnie nie zaspokoilo potrzeb, zwłaszcza na wsi dało się odczuć brak ogórków, pomidorów; zaś kapusta w 90% została zniszczona przez gąsienice.

Należy wspomnieć o sadownictwie, z którego Dziśnieńszczyzna w ubiegłe lata czerpała pokaźne sumy, zaś w r. b. tylko starannie pielęgnowane sady, jakich mało jest, wydały 60% plon.

Najbardziej zwycięsko z klęski posuchy wyszły kartofle, które w r. b. będą deską ratunku dla naszego wieśniaka. Wydały one bardzo dobry plon zawdzięczając opadom, które od połowy sierpnia zaczęły nawiedzać nasze strony.

Len, siany bardzo późno, doczekał się opadów, więc niektórym przyniesie pewien dochód. Najlepsze zbiory, zwłaszcza jare, mają gminy prozorocka i mikołajewska, ta ostatnia może poszczycić się dobrym lnem.

Prawda o naszej wsi.

Redakcja nie podzielając całkowicie poglądów autora, który jest zwolennikiem minimum życiowego w stosunku do wsi, zamieszcza niniejszy artykuł podając go do dyskusji.

W roku zeszłym ukazały się w „Naszym Głosie“ artykuły, omawiające życie wsi kresowej. Uderza w tych artykułach skrajny pesymizm. Autorzy uważają, że życie na wsi naszej jest bardzo złe, a zło to uważają za małe necessarium. Spotkałem się nawet ze zdaniem, że nędza wsi białoruskiej jest przysłowiowa. Sądzę jednak, że przysłowiowa jest raczej skłonność chłopów białoruskiego do skarg i narzekań. Stosunki na wsi są pod wieloma względami nie tak złe, jak się przyzwyczajono sądzić. Nie można powiedzieć, że dola chłopów kresowych jest godna zazdrości, jednak biorąc pod uwagę niewielkie potrzeby i aspiracje chłopów, można śmiało powiedzieć, że nie ma powodu do utyskiwań.

W niniejszym artykule biorę pod uwagę stosunki, panujące w powiatach dziśnieńskim, postawskim i brasławskim. W powiatach wyżej wymienionych znajdujemy ziemię żyzną i zaludnienie stosunkowo rzadkie. Na ogół nie ma u nas głodu ziemi. Pod tym względem stoi wieś białoruska wyżej od wsi wielkopolskiej lub mazurskiej. Ludność wiejska dzieli się u nas na trzy zasadnicze grupy. Do pierwszej należą gospodarze zamożniejsi, którzy mają dochody, przewyższające wydatki. Przypatrzmy się teraz życiu, jakie prowadzą. Czy oddają się rozrywkom kulturalnym, czy wkładają kapitały w podwyższenie kultury rolnej, a tym samym zwiększają swoje dochody? Czy lokują swoje kapitały w przedsiębiorstwach spółdzielczych? — Nie. Chłopi, posiadający nadwyżkę dochodów nad wydatkami, po większej części trzymają pieniądze w domu lub oddają na lichwiarski procent prywatnym osobom częstokroć tracąc procenty i kapitał. Pomijam tych, którzy tę nadwyżkę po prostu przepijają. Do wyjątków, nawiasem mówiąc bardzo rzadkich, należą gospodarze, starający się podnieść swoją stopę życiową, czyniący jakiegokolwiek wkłady w swój warsztat pracy lub interesujący się spółdzielczością, której olbrzymiego znaczenia nie chcą rozumieć, zaślepieni w swoim zgubnym konserwatyzmie. Dochodzimy więc do przekonania, że rolnicy zamożniejsi nie wykorzystują swoich możliwości. Gdyby wszyscy jak jeden mąż stanęli solidarnie przy sztandarze spółdzielczości, gdyby wyrzekli się choć w minimalnym stopniu swego egoizmu i interesowności, poprawiliby swój stan materialny. Chłop białoruski trzyma się dewizy: jak najmniej włożyć, a jak najwięcej zysków ściągnąć ze swej roli. Nic dziwnego, że taka gospodarka doprowadza do coraz to większego spadku wydajności roli, co jest tym bardziej smutne, że wszędzie widzimy dążenia do ulepszenia gospodarki i zwiększenia wydajności roli równoległe z przyrostem ludności, Trzy wymienione powiaty dostarczają pomimo braku ruchu spółdziel-

czego 25%, nabiątu dla województwa wileńskiego i nowogródzkiego. Pomimo niefachowej gospodarki wywozi się z tego zakątka kraju dużą ilość owoców. Jak wielkie korzyści ciągnęliby mieszkańcy Kresów z mleczarstwa i sadownictwa, gdyby te gałęzie produkcji zostały postawione na odpowiednim poziomie.

Drugą grupę mieszkańców stanowią małorolni, których dochody nie wystarczają częstokroć na przeżycie. Ci mają jednak sposobność dorobić się nieco podczas robót sezonowych, które stosunkowo są dobrze płatne. Podczas robót sezonowych nie może być mowy o bezrobociu, gdyż odwrotnie daje się odczuć brak rąk do pracy. Nasuwa się tu porównanie losu chłopca i robotnika fabrycznego, któremu chłop tak zazdrości. Gdy chłopu nie wystarcza własny kawałek gruntu, potrzebuje tylko wyciągnąć rękę po pracę. Robotnik w mieście, jeżeli nawet posiada pracę, żyje w ciągłej obawie, że pracę tę może stracić. Jeżeli nawet robotnik w mieście jest lepiej płatny, to ma o wiele większe wydatki, musi lwią część oddać na mieszkanie i utrzymanie. Robotnik taki żyje częstokroć w nie opalonym mieszkaniu z powodu drożyzny drzewa. O wiele lepiej wygląda izba chłopca od suterenu, klatki pod schodami lub poddasza robotnika. Robotnik nie może sobie pozwolić na rozrywki kulturalne jak radio, gazeta, lub teatr, tak jak chłop. O ile jednak boleśniej odczuwa to widząc, jak inni używają życia, a on nie ma z tym życiem żadnej styczności.

Wreszcie trzecia kategoria: są to w przeważnej części „zapasznicy” i parobcy. Ci pierwsi mają się dość dobrze, częstokroć lepiej od gospodarzy, posiadaczy gruntu. Muszą, co prawda, ponosić pewne ciężary i uciążliwe świadczenia na rzecz właściciela, jednak otrzymują za to mieszkanie i mogą jako tako przeżyć. Parobcy również mogą z biedą klepać życie. Głodu na wsi prawie nie ma. Wprawdzie i na wsi są wypadki skrajnej nędzy, lecz powodem tego jest albo lenistwo i niedołęstwo, albo bardzo liczna rodzina. To samo jednak występuje i w miastach, tak że do specjalnych narzekania nie ma powodu. Na wsi zarabiają nawet dzieci pasąc bydło i kobiety pracujące podczas robót sezonowych za dość dobrą opłatą.

Mylne jest także zdanie, że chłop białoruski odznacza się wrodzonym lenistwem. Przeciwnie, jest on bardzo pracowity, tylko że praca jego jest jałowa i nieproduktywna. Należy zbudzić energię w tym ludzie i skierować na właściwe tory. Niech chłopci nie pogardzają swoją pracą, niech posyłają do gimnazjum swoje dzieci nie myśląc o wyswobodzeniu się z „jarzma pracy”. Synowie rolników z nabytą wiedzą muszą powrócić na wieś, aby tu szerzyć kulturę. Warunkiem powodzenia każdej pracy jest wiara w jej skuteczność. Gdy z wiarą w przyszłość weźmie się lud wiejski do pracy, gdy zaprzestanie odseparowywać się od wszelkiego postępu, posiadzie na pewno dobrobyt. Muszą jednak pracować nad tym jednostki ze średnim a nawet z wyższym wykształceniem, pochodzące z ziemi, która je wydała. —

J. Sosnowik kl. VII.

Noc świętojańska w pow. brasławskim

(Wieś Aleksandryn, gm. Leonpol).

W tutejszym zakątku kraju dotrwał zwyczaj obchodzenia święta Kupały. Odbywa się ono nadzwyczaj uroczyście. Byłem naocznym świadkiem tego obrzędu.

Jeszcze na kilka dni przedtem robi się specjalne przygotowania. Najwięcej tym świętem interesują się prócz młodzieży—dzieci.

One to zawczasu upatrują, komu słomę ściągnąć, skąd dostać „trubkę“¹⁾ lub „mazionkę“²⁾. Aż wreszcie wśród przygotowań nadchodzi dzień wigilii św. Jana.

Jeszcze słońce nie zaszło, a już się zbierają gromadki młodzieży i żywo rozprawiają, gdzie mają obchodzić Kupałę. Po ożywionej duskusji obrali śliczną polanę, przylegającą z jednej strony do łąki z żytem, a z drugiej do lasu. Skoro schował się ostatni rąbek słońca za wierzchołki drzew, wszystko było już do pochodu gotowe. Gromada, złożona z przedstawicieli różnej płci i wieku, wyruszyła z wioski.

Na przodzie szły dziewczęta i śpiewały „kupałę“. Kilka zwrotek tej pieśni zapamiętałem.

„A na Jana noczka mała!
Rana, rana, noczka mała.
Noczka mała kupalnaja,
Rana, rana, kupalnaja.
Chadziw czyżyk pa ulicy,
Rana, rana, pa ulicy!
Zbiraw dziewczak na kupalniu,
Rana, rana, na kupalniu“! i. t. d.

Dziewczęta śpiewają, a chłopcy z tyłu wesolo im wtórują. Starzy gwarzą o tym, jak to oni niegdyś tacy młodzi byli i jak się zabawiali. Dzieci idą w środku, gdyż boją się, aby nie wypadła z żyta rusalka, zwana „czyżykiem“³⁾ i nie schwyciła które.

1) „Trubka“ jest to nieużyteczne, połamane stare koło. Pali się je z tego powodu, że jest mocno przesiąknięte dziegciem i innymi smarami i daje żywszy ogień.

2) „Mazionką“ nazywa się przyrząd, służący do przechowywania smarów do wozów. Jest ona zrobiona z drzewa i ma kształt wiadra z dwoma dnami; w jednym z nich znajduje się niewielki otwór, służący do wsuwania pędzla.

3) „Czyżyk“ jest to zmyślona przez ludzi postać rusalki, mieszkająca rżewo w zbożu, którą wieśniacy straszą swe dzieci w tym celu, by nie chodziły po życie. Przypisują jej tę cechę, że złapawszy dziecko łaskocze je aż do śmierci.

Pochód oświecają wiechy, oblane smołą, które niesie się zapalone na wysokich żerdziach. Ponadto na rozdrożach palone są t. zw. „mazionki“. Ciepły wietrzyk powiewa, a złote kłosa szeleszczą niezrozumiale dla ludzi słowa. Wśród uroczystego pochodu zbliżają się do obranego miejsca.

Na tle ciemnego lasu, nad brzegiem strugi, widać niewyraźne kształty stosu. Następuje uroczysta chwila zapalenia go. Występuje z tłumu najładniejsza dziewczyna i z piosenką na ustach zbliża się do stosu. Za chwilę bucha wesóły płomień i snopy iskier wzbijają się w górę. Muzyka zaczyna grać i wnet sunie naokoło ogniska para po parze.

Tymczasem, kiedy młódź bawi się wesoło, starzy idą do lasu i szukają ziela, zwanego „bogatką“. Roślina ta ma podwójne znaczenie: po pierwsze, jeśli przyniesiona w noc św. Jana do domu i zatknięta za obraz zakwita — wróży temu, kto ją zatknął, długie życie; poza tym służy ona jako lekarstwo dla bydła przed czarami.

Ale w tej chwili przy ognisku okazało się, że znikła podpalaczka stosu. Daremnie szukają jej wszyscy. Nigdzie jej znaleźć nie mogą. Aż nagle z żyta od strony wioski ukazała się gorejąca pochodnia. To właśnie ona biegła między żytem z zapaloną garścią słomy, którą wznosiła wysoko w górę. Wzrok jej był promienny, rozpuszczony włos spadał szeroko na ramiona. Na głowie miała wianek z bławatków. W tej chwili była podobna do rusalki. Skoro ją młodzież zauważyła, natychmiast rozsypała się na wszystkie strony — gdzie komu było najbliżej. I naraz zewsząd zabłysły złote płomienie. I biegły, i migotały, aż znikły, by potem jeszcze silniej wybuchnąć. Było to palenie słomy — jedna z ceremonii „Kupały“.

Gdy się skończył ten obrzęd, wszyscy wracają znowu do ogniska. Chłopcy skaczą przez ogień, a dziewczęta usiadłszy na murawie plotą wieniec i puszczają je na wodę. Każda bystrym wzrokiem ściga swój wianek, gdyż wiele zależy jej na tym, czy wianek popłynie, czy zatrzyma się gdzieś u brzegu. Czyj wianek popłynął, tej wróży prędkie zamążpójście, a czyj się zatrzymał, oznacza staropanieństwo.

I tak wśród zabawy schodzi cała noc. Wschodnia część nieba już się czerwieni od zorzy, która świeci przed wschodem słońca. Gwiazda poranna już wysoko migotała na niebie, kiedy młodzież wracała z obchodu „Kupały“. I chociaż raz jeden widziałem podobny obrzęd, obraz jego pozostanie na zawsze wryty mi w pamięci. I nieraz, gdy tę chwilę sobie przypomnę, cicho wzdycham za nią. Jakaś tęsknota ogarnia mnie wtedy, chciałbym znowu mieć ten obraz

przed oczyma i napawać się jego widokiem. Takie głębokie wrażenie wywarła na mnie ta cudna noc świętojańska.

J. Ryndzionek kl. VII.

Wywiad z p. burmistrzem m. Dzisny.

Chcąc zaznajomić czytelników „Naszego Głosu“ ze wszystkimi zagadnieniami m. Dzisny zwróciliśmy się do najbardziej kompetentnego źródła, a mianowicie do p. burmistrza. P. burmistrz przyjął nas bardzo uprzejmie i życzliwie udzielił wszelkich informacji i wyjaśnień.

—Jak się przedstawiał budżet miasta w roku ubiegłym?

—Ogólna suma dochodów osiągnęła cyfrę 54879 zł., suma zaś wydatków była o kilkadziesiąt złotych niższa; ubiegły rok budżetowy zakończył się nadwyżką.

—Jak wygląda budżet roku bieżącego?

—Budżet został preliminowany na sumę 34871 zł. Już w chwili obecnej można przewidzieć, że plan budżetowy zostanie całkowicie wykonany i zdoła się osiągnąć nadwyżkę dochodów nad wydatkami.

—Jakie jest położenie finansowe Dzisny?

—Jest to rzecz bardzo względna. Budżet miasta jest co prawda skromny i ulegał dotychczas corocznej redukcji, muszę jednak zwrócić uwagę na jedną pocieszającą okoliczność: w ostatnich latach osiągnięto nie tylko równowagę budżetową, lecz nawet stałą nadwyżkę dochodów nad wydatkami. Nasz budżet jest więc skromny, lecz realny i zaspakaja mniej więcej potrzeby miasta. Mamy prawo powiedzieć, że położenie finansowe miasta jest niezłe.

—Ile wynoszą pozycje na cele oświatowe i kulturalne?

—Na oświatę przeznaczyliśmy 7396 zł. t. j. 1/5 budżetu. Z tej sumy wydamy 6796 zł. na oświatę szkolną (szkoła powszechna), a resztę 600 zł. na oświatę pozaszkolną. Do wydatków na cele kulturalne trzeba zaliczyć pozycję 700 zł. na P. W. i W. F. Jest to, niestety, mała suma. Zdajemy sobie doskonale sprawę z braków urządzeń sportowych. Postawiliśmy sobie za cel wybudować stadion sportowy na terenie gimnazjum; w bieżącym roku wybudowano strzelnicę i bieżnię, w roku przyszłym będziemy prace kontynuować.

—Stosunek Zarządu miasta do gimnazjum jest więc przychylny?

—Ależ oczywiście. Odnosimy się jak najżyczliwiej do gimnazjum

i mamy zrozumienie dla wszelkich jego potrzeb. W najbliższej przyszłości ukończymy chodnik, prowadzący do gimnazjum. W roku przyszłym wypłacimy stypendium w wysokości 600 zł. dla najzdolniejszego ucznia szkoły powszechnej, który zechce się uczyć w gimnazjum.

—Czy są przewidziane jakieś nowe inwestycje?

—Owszem. Łączy się to z planem inwestycyjnym rządu. P. Premier Składkowski, znany ze swej przychylności dla Kresów, przeznaczył dla Wileńszczyzny na okres 1937—40, 27 milionów złotych. Część tych pieniędzy pójdzie na potrzeby miast i gmin. Niedawno odbył się w Głębokiem zjazd burmistrzów i wójtów pow. dziśnieńskiego, na którym omówiono sprawę przydziału kredytów. Prosiłem dla Dżisny o 84200 zł. P. Starosta odniósł się przychylnie do naszej prośby i prawdopodobnie otrzymamy tę sumę. Przewidujemy budowę nowych pomieszczeń dla szkoły powszechnej (21000 zł.), budowę bruków (30600 zł.), przełożenie starych bruków (11200 zł.), budowę 2000 mtr. chodników (9000 zł.), budowę rzeźni (5450 zł.), aresztu (1500 zł.), 14 nowych studni (2100 zł.) i in.

Już na wiosnę przystąpimy do budowy szkoły powszechnej. Dotychczasowy lokal jest nie wy-tarczający. W nowym gmachu pomieszcza się 4 klasy, sala gimnastyczna i mieszkanie dla nauczycieli i służby.

Dla upiększenia miasta planuję sadzenie drzewek. Chętnie bym przystał na współpracę uczniów. Sadzenie drzewek powinno mieć przebieg uroczysty, aby wzbudzić wśród społeczeństwa Dżisny zrozumienie dla zieleni i piękna.

—Jak się przedstawia sprawa budowy kolei?

—Prace przygotowawcze zostały już ukończone, trasa została wytyczona od Szarkowszczyzny aż do Dżisny, jednak na tym wszystko utknęło. Dotychczas brak funduszków na dalsze prowadzenie prac. Koszta budowy wynoszą 5—6 milionów zł., nie jest to suma wielka, i jest nadzieja, że wybuduje się tę koleję w ramach czteroletnich inwestycji rządu. Wysłaliśmy w tej sprawie memoriał do Warszawy zaznaczając, że grunta, potrzebne pod budowę toru, ziemianie odstąpią bezpłatnie. Ostatnio krążyły pogłoski, że przystąpiono do regulacji rzeki Dżisny; podobno uregulowano już 8 klm. koło Szarkowszczyzny. Za prawdziwość powyższego jednak nie ręczę. Sprawa komunikacji, ta paląca kwestia Dżisnieńszczyzny, nie tak prędko ruszy z martwego punktu.

Podziękowaliśmy p. burmistrzowi za życzliwość i cenne uwagi prosząc o pozwolenie zamieszczenia powyższego wywiadu w „Naszym Głosie“, na co p. burmistrz wyraził zgodę.

B. Szubicz kl. VIII.

Dział dla młodszych.

Pole bitwy pod Stoczkiem.

Z wycieczek wakacyjnych.

Wakacje tegoroczne spędziłem świetnie. Szczególnie miłym wspomnieniem pozostanie wycieczka na pole sławnej bitwy pod Stoczkiem, w której znacznie słabsze siły polskie rozgromiły wojska rosyjskie. Odbyłem ją na rowerze jadąc jedną z tamtejszych świetnych szos. Byłem w towarzystwie pewnych znajomych państwa. Pogoda dopisała, jechaliśmy szybko, toteż wkrótce byliśmy w miasteczku Stoczek. Półtora kilometra, dzielące nas od historycznego miejsca, przebyliśmy bardzo prędko. Oczom naszym ukazało się wzgórze, którego strome boki były pokryte rzadko sosną. Wdrapawszy się na jego szczyt zobaczyłem pomnik, wzniesiony ku czci poległych za Ojczyznę. Ma on kształt stożka, u którego nasady unosi się orzeł z rozpostartymi skrzydłami. U dołu umieszczona tablica z wrytym napisem:

**Ofiara ich czynów
i krwi
zarzewiem miłości
Ojczyzny
na dalsze stulecia**

Dwie kule armatnie, wmurowane po obu stronach, dopełniają całości. Tuż za pomnikiem rozpościera się widok na pobliski las, u którego skraju stała ongiś artyleria rosyjska, ostrzeliwująca wojsko polskie.

Długo staliśmy zamyśleni, a gdy przyszła chwila odjazdu, odwracaliśmy głowy żegnając z żalem to miejsce, gdzie szabla polska zatriumfowała nad wrogiem.

Z. Chwalibóg kl. III.

Na feście.

Dzień był ciepły. Całe roje furmanek toczyły się po gościńcu wzdymając tumany kurzu, który wżerał się do oczu i ust pieszym i osiadał im grubą warstwą na plecach. Wszyscy śpieszyli na fest w Porpliszczach. Jest to wioska, która posiada szkołę, gminę i cerkiew. Rokrocznie odbywa się tu wielki zjazd popów podczas festu. Zbliżamy się do wsi, Ludzi moc. Wszystkie uliczki pozostawiane wozami i rojne od ludzi. Wieśniacy zbierają się kupkami i zaczynają rozprawiać o gospodarstwie. Jeden skarży się na nieurodzaj, drugi na brak floty, a każdy na jakąś biedę. Tak żaląc się na swoją dolę zawędrują do karczmy „zamaryć czerwiczka“. A potem następuje uroczysta eskorta z policją do „paki“. Kobiety poruszają swoje sprawy. Lubią plotkować. Zaraz obmówią jakąś paniusię, albo kawalera, obejrzą, jak który ubrany i jak chodzi. A młodzież czym się interesuje? Tematem jej rozmów są przeważnie „wieczorynki“.

Na rynku pełno straganów, każdy z przekupniów wychwala swój towar. Żyd sprzedający lody chce się przecisnąć przez tłum, więc drze gardło na cały rynek. Policjant go upomina, aby był grzeczniejszy względem publiczności. Wtedy ten zdobywa się na dowcip i krzyczy: „na bok, panowie, Ameryka jedzie“. Po takim odezwaniu się tłum przepuszcza go naprzód. Albo jakiś oszust znowu pokazuje ludziom sztuki. Wykłada 3 blaszki. Na jednej jest nalepiony papierek. Zręcznie je przekłada, a kto zauważy, gdzie jest blaszka z papierkiem, ten wygrywa. Z początku zazwyczaj da komuś wygrać dla zachęty, a później sam zbiera obfity plon, złożony z pieniędzy w pocie czoła zapracowanych.

Wchodzimy na dziedziniec cerkiewny. Przedstawia się nam obraz biedoty. Cała kupa żebraków obsiadła wszystkie dostępne miejsca. Piekielny hałas. Każdy z nich na swój sposób stara się zwrócić uwagę przechodnia. Którego zabolę gardło, zamilknie na chwilę, natychmiast znajdzie się jakaś pobożna niewiasta i przypomni mu: „czamu ty nia molissia?“. Żebracy — to plaga naszych wsi i miasteczek. Czas już tę sprawę na wsi zlikwidować.

Wróćmy do opowiadania. Do cerkwi niesposób docisnąć się. Wielki tłok. Kto tam na chwilę wejdzie, zaraz wychodzi obłany potem.

A gdzie jedzą przybysze? — Na łonie przyrody. Biorą z wozu wikt, sypią na zieloną trawkę i rozkładają się obozem. Do takiego towarzystwa należą zazwyczaj wszyscy krewni. Pośrodku rozesłana

„paściłka“ (rodzaj serwety), na której leżą kiełbasy, bułki, chleb. A miłą rozmowę przeplata chodząca od ust do ust szklanka „kontorki“ albo samogonu. Pozycja niezbyt wygodna: leżąc na brzuchu trudno jadło wpychać — sam się przekonałem.

Przed zachodem słońca mkną chłopskie furmanki po zakurzonej gościńcu, a razem z cichym wiatkiem płynie piosenka wesoła rozhułanych „kiermaszowików“:

„Na kirmaszy była —
Ni pałudniwała;
Pisar chustku kupiu —
Ni abrubiwała.

Hoj ja!“

A. Kaczan kl. II.

Gdy byłam jeszcze maleńka.

Gdy byłam jeszcze maleńka, mieszkałam z rodzicami w Rymkach, ładnej wioseczce nad Dżisienką. I tak mi tam było dobrze, że chyba nie zapomnę tego nigdy. Zapadła miejscina o dwadzieścia kilka km. od kolei (teraz mają już blisko) i o 15 km. od poczty, otoczona rzekami i bagnami, ale kocham ją teraz jeszcze i będę kochała zawsze. Tam pozostały moje najlepsze wspomnienia dziecinne, moje przygody i moi przyjaciele: Prośka, Marylka i Pola. Jakże przyjemnie było bawić się z wami! Człapać bosymi nogami po błocie rozpryskując je daleko, wytarzać się w piasku i potem wypłukać się w rzece.

Naprzeciwno szkoły stała śliczna biała cerkiewka i plebania. Oj! dokuczaliśmy tam, dokuczali. Borka, mój brat, rzadko brał udział w zabawach z dziećmi, jego interesowały rzeczy poważniejsze, np. czy będzie Pan Bóg sądził Załmana (nasz znajomy Żydek) za ukrzyżowanie Chrystusa?... i t. d.. Naprawdę podziwiam teraz cierpliwość ks. proboszcza, który zawsze poważnie wysłuchiwał i poważnie tłu maczył dziecku rozmaite zagadnienia teologiczne i to prawie codziennie i całymi godzinami, — bo Borka to straszny gaduła. Od tego chyba czasu Borka nabrał zamiłowania do cerkwi i religii. Ja natomiast lubiłam pomagać matuszce w gospodarstwie, a szczególnie przy dojeniu krów. Pozwalano mi czasem pociągnąć krowę za dojkę a wtedy, o radości, mleko lało się do skopka. Byłam pewna, że

beze mnie matuszka nie dałaby sobie rady, więc z poczuciem własnej godności zajadałam świeże mlecze z chlebem lub bułką. Przecież sama zapracowałam na nie. A Borce wciąż się zdawało, że nie dokończył jeść swej bułki i co dzień upominał się o nią i co dzień dostawał nowy kawałek.

Latem przyjeżdżali na wakacje synowie proboszcza, studenci i też bawili się z nami, raczej nami. Pływali po rzece i nas uczyli pływać. Pamiętam, raz upuściłam do rzeki wiaderko ojca. Przestraszona, co tchu rzuciłam się do starszego: „Geniczka, wiaderko tonie“, a on rzucił się do wody, jakby szło o ratunek człowieka i wyciągnął wiaderko. Teraz ten „Geniczka“ jest profesorem w gimnazjum i, kto wie, może lęde kiedys drżała przed nim na lekcji.

Ale największa przyjemność była wtedy, gdy rodzice wyjeżdżali na konferencje (pracują w szkole), a do nas przychodziła matka służącej, Haneta. Opowiadała nam cudowne bajki, śpiewała białoruskie piosenki. Najwięcej mi się podobała kołysanka. Zapadła wprost do serca i duszy.

„Luli, luli, luli,
Paszou kot pa duli,
Pamaroziu łapki,
Skaczycu na pałatki.

A z pałatki dy na piecz,
Udaryu babku pamiż plecz.
Tady kotik spuhausia,
Dy na pieczku schawausia.

Babka kóćika najszła,
Dy za wuszki patrasła.
Paszou kocik płaczuczy,
Za im babka skaczuczy.

Cicho, kocik, nia uciekaj,
Cicho, kocik, paczekaj.
Cicho, kocik, nia tuży.
Jaszcze z hadok pasłuży.

Kuplu tabie boty
Stuckaj raboty,
Boty darahije
Za try załatyje.

Oj ty, kocie, kocie,
Nie siadzi na płocie,
Chadzi lepiej k nam, k nam,
Nieszta tabie dam, dam.

Luli, luli, luli,
A ja katka pałaju,
Kab pa noczy nie chadziu,
Majej Mani nie budziu“.

I tak mi serdecznie było żal tego kotka, tak chciałam przytulić go pod kołderką, ogrzać zmarznięte łapki. A niedobrej babce życzyłam jak najgorzej i żeby kotek do niej nigdy nie wrócił.

Drogie, kochane Rymki! Mili, kochani przyjaciele! Czy zobaczymy się jeszcze kiedy? Czy pamiętacie o mnie? O jakbym chciała widzieć was wszystkich! Nie poznalibyście mnie teraz. I ja bym może nie poznała was. Dziewczynki już powyrastały, ks. proboszcz posiwiął, a i matuszce przybyło już chyba siwych włosów. Czy stara Haneta żyje i komu opowiada swe bajki?

N. Szaszko - Chwoszczyńska kl. II.

J u ż l a t a m !

Jestem entuzjastką lotnictwa, interesuje mnie ono i bardzo pociąga. Będąc jeszcze małym pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie widok tych olbrzymich ptaków—było to pierwsze zbliżenie się do nich.

Chciałem latać!

Z biegiem czasu dowiadywałem się o coraz to nowych rzeczach w „tym“ lotnictwie. Zainteresowanie moje w tym kierunku zaczęło wzrastać. Nadszedł okres sukcesów Polski na polu lotnictwa—zwycięstwa w challang'u, Gordon—Bennett'a...

Pewnego razu siedząc z kolegą przy głośniku w czasie transmisji z zawodów zamyśliłmy się... Teraz wydaje mi się, że o tym samym wtedy myśleliśmy. On teraz zaciągnął się do lotnictwa, ja starałem się tymczasem dostać gdzieś na jakiś kurs lotniczy.

I oto jestem na kursie, na razie szybowcowym w Grzegorzewie. Stoi teraz przede mną możliwość samodzielnego prowadzenia „maszyny“ — więc bierzmy się. Z początku „szubienica“—jest to pierwsze ćwiczenie, dające możność poznania i przyzwyczajania się uczniowi—pilotowi do reakcji sterów. Wygląda to w ten sposób, że wieszka się na specjalnym rusztowaniu szybowiec stawiając go pod wiatr. Uczeń—pilot musi wraz z szybowcem utrzymać równowagę przy pomocy wszystkich sterów.

Po opanowaniu tego następują „szury“, „skoczki“ (krótkie loty) i wreszcie loty,—najpierw z 1/4 góry, 1/2 i z całej. Już loty! szybowiec jest ustawiony pod wiatr na desce startowej, z tyłu za ogon przyczepia go się do „kółka startowego“. Obsługa przy linach gumowych jest już na miejscu, lina przyczepiona, uczeń—pilot siada..., przypa-

suje się... Jeszcze krótkie wskazówki instruktora... Nastaje cisza konieczna przy starcie... Padają krótkie dwa pytania instruktora: o—gon...—li—ny...—go—to—we?

—Go—to—we!

Pada komenda — na—cią—gaj!

Jeszcze jedną krótką uwagę wyrzuca z siebie instruktor i ... puść! — Jest to ostatnie słowo komendy. Szybowiec, jakoby kamień wyrzucony z procy, leci w powietrze. Czekamy... — lot wydaje nam się dobry... lądowanie... dobrze!! Teraz jeszcze kilka krótkich uwag po locie — i tak ciągle start po starcie...

Lecę już z całej góry!... Jest to lot pierwszy... wysokość jest znaczna... dziwnie się czuję — wydaje się jakobym siedział na wierzchołku drzewa, które się wali. Jednak to tylko w pierwszej chwili... podchodzę do lądowania — jeszcze chwilka — już wylądowałem szczęśliwie.

Część „chrztu“ już przeszedłem, teraz nastąpi dalsza ceremonia. Jest to w tradycji tego szybowiska, a mianowicie twarz każdego delikwenta maluje się różnymi kolorami. Po tej ceremonii jest się raczej do papuasa podobnym, niż do Europejczyka. Dla wszystkich jest to wielką radością — jedni cieszą się, że już są tak daleko w szkoleniu, drudzy z widoku tak „kolorowego towarzystwa“.

Loty odbywają się dalej — mamy już po dwa, trzy, cztery i więcej lotów z „pełnej“ góry — mamy już kategorie — jesteśmy już pilotami szybowcowymi. Nie poprzestajemy na tym, loty odbywają się dalej — już na kategorię I „B“. Potrzebne są tu wiraże, więc coś nowego dla nas.

Jeden szybowiec po drugim zlatuje na dół, wciąż te same komendy, starty, loty raz udane, drugi raz gorsze, potem znów uwagi instruktora. Czas leciał, loty nasze były coraz lepsze. Jeszcze po jednym locie brakuje nam do uzyskania kategorii.

Przychodzi kolej na mnie, dano znak, bym siadał, — więc to ostatni mój lot! Szybowiec stał przygotowany — siadam... przypasuję się... dostaję zadanie lotu: dwa wiraże. Jeszcze krótkie uwagi, rady... wszystko jest już gotowe.

— Na — cią — gaj!.....

— Puść!

Szybowiec został zwolniony. Jednak wskutek wielkiego tarcia płozy o deskę stał jeszcze przez chwilę na miejscu — jakby się namyślał... rusza, startuje. Drażek sterowy „ściągam“ lekko na siebie dla uzyskania wysokości, potem trochę „oddaję“ — szybowiec utrzymuje równowagę doskonale. Szybkość jest dobra, czuję się pewny,

...mam zrobić dwa wiraże... więc kładę maszynę ajpierw w lewo, robię wiraż, potem drugi i podchodzę do lądowania — ląduję — — dobrze!

Kurs ukończyłem wynosząc z niego moc wrażeń i nowych postanowień ...

W. Rettinger kl. VIII.

Coś niecoś o zawodach.

Dostaliśmy zaproszenia od Kolegów z Głębokiego i Świącian na rozegranie meczu piłki siatkowej i koszykowej. Więc w przyśpieszonym tempie zaczęliśmy trenować. Kapitan sprowadził najnowsze przepisy gry i surowo kazał je przestrzegać. Podnieśliśmy więc siatkę na 2, 44 m. i zaczęliśmy gorliwie przyswajać nowe przepisy No, i szło nienajgorzej. W koszykówce gracz był idealnie nie dotykalny. Rzucanie do koszów dobre, napad dobry, obrona jeszcze lepsza.

Nadszedł dzień wyjazdu. Wpakowaliśmy się do samochodu porządnie nabitego. Trudno, niewygodnie jechać nie nowina, zresztą sportowiec wszelkie przeciwności powinien znosić z pogodą umysłu. Jakoś jednak dojechaliśmy do Głębokiego. Po godzinnym marszu wynaleziono nam umebłowany pokoiik, dano słomy. Śpij, bracie, a o kolacji nie myśl. Pewnie, sportowiec musi przed meczem wrócić do formy. My jednak byliśmy innego zdania. Kapitan gdzieś zaginął; obejmuje dowództwo starszy kolega już pod wężem i idziemy do cukierni. Przy dźwiękach patefonu, grającego „Jak smutno mnie bez ciebie“ i „Śpiewają fale“, spożywamy skromną, lecz drogą kolację. Wracamy. Film. No, jakże nie pójść, przecież gra Brodzisz, a tytuł brzmi tak zachęcająco: „Jego wielka miłość“. Kupujemy bilety i zajmujemy pierwsze miejsca (nie od końca, ale z przodu). Zaczęło się. O dziwo, lepiej się widzi i słyszy, niż dziśniejszy film z „galorki“. Słowo daję, za taki film warto zapłacić nie 25 gr. jak w Dziśnie, lecz co najmniej potrójnie. Pełni wrażeń zasypiamy w umebłowanym pokoiku na rozrzuconej słomie przy akompaniamencie teatorów i basów wesołych sportowców. Świt. Budzimy się. Pada deszcz. Trzeba się jednak starać o śniadanie. Kapitan znów nieobecny, może załatwia formalności zawodów, więc znów kolega pod wężem myśli. O obiad się już nie troszczymy: gospodarze przyrzekli go nam dać.

Zimno. Deszcz leje. Gospodarze ścinają śmiertelnie, nic dziwnego — siatka nie przekracza dwóch metrów. Nam idzie gorzej: przyzwyczajeni jesteśmy do siatki przepisowej, więc ścięcia się nie udają, a brać taką piłkę, od której ziemia drży, jakoś nie wypada i nie ma chęci. Ostatecznie przegrywamy. Krótka przerwa. Koszykówka. Tempo straszne. Nasi postanowili pomścić klęskę. Lecz jakże trudno było wygrać. Gospodarze ani słyszeli o najnowszych przepisach. Gracz odbiera graczowi piłkę. Jeżdżą po prostu na naszych, a sędzia nie reaguje. Mówi, że nic nie wie o przepisach, a w Głębokiem tak gra się z tradycji. Po wielu trudach pobiliśmy ich grając jednak do końca przepisowo.

Wkrótce pociąg. Jedziemy do Święcian po nowe laury (przepraszam!) klęski. W wagonach wulkaniczny zaduch i ciasnota. Spać nie można, a tak się chce. W Łyntupach czekamy na pociąg. Lecz oto palą się Łyntupy! Robimy 2—kilometrowy bieg i wracamy biegiem. O 6-tej rano jesteśmy u celu. Przyjęcie znakomite. Śpimy na łóżkach do 8-mej. Śniadanie dobre. Po Głębokiem — prawdziwa uczta. Maszerujemy razem z gimnazjum do kościoła, by się pomodlić o pomyślność meczu. Deszcz i tu nas przesładuje. Staje się coraz większy. Weinamy po kościele porządny obiad i gramy. Jak na złość, na początku siatka, a tak leje, tak zimno Idzie jednak dobrze. Chociaż siatka nie przekracza i tu 2 metrów, jednak ścinamy porządnie i ciągle prowadzimy. Kobieta—sędzia nie widzi przekroczeń gospodarzy pod siatką, ale za to widzi doskonale nasze nad siatką. Bijemy ostatniego. Jakimś cudem wywęczeni gospodarze naszego zapasowego i „kiwnęli“ nam piłkę. Ma się rozumieć spartolił. Przegraliśmy pierwszą, a za nią i drugą. Przerwa 20-minutowa, gdyż leje jak z cebra.

Koszykówka. Sypią kosz za koszem. Grają brutalnie. Kobieta—sędzia przzwyczajona do ich brutalności nie przeszkadza, a nasi ściśle trzymają się zasad gry wpojonych przez kapitana. Kosze wpadają, wypadają i znów wpadają. Przerażliwy gwizdek zwiastujący triumf gospodarzy i naszą klęskę. Trudno — jeśli się chce wygrywać, trzeba umieć przegrywać.

Na pociechę jest film. Dają nam 4-y rząd chyba dlatego, że pozwoliliśmy się pobić. Siedzimy i porównujemy Święciany do Dżisny z wszelkimi jej zaletami. 10-a wieczór. Maszerujemy po kolacji do stacji Łyntupy. Coś około 20 klm. torem kolejowym. Trudno — nie zasłużyliśmy widocznie na pociąg. Zmęczeni, zziębnięci i nie wyspani przeklinamy swój wyjazd i trochę smutni wracamy do Dżisny postanawiając pomścić klęski na wiosnę.

L. Cytowicz kl. VIII.

Dlaczegośmy przegrali.

Na przegraniu meczu siatkówki i koszykówki w Świącianach złożyło się wiele przyczyn. Jedną z pierwszych przyczyn było bez wątpienia ściśle trzymanie się najnowszych przepisów gry. Ostre sędziowanie na treningach, za najmniejsze zderzenie z graczem karny punkt doprowadziło do gry ostrożnej, wprost niemożliwej. Gdyby drużyny naszych przeciwników grały według nowych przepisów, wyniki byłyby bez wątpienia inne. Samych karnych punktów mieliśmy dużo. Napadanie na gracza z tyłu jest i było niedopuszczalne, a jednak Koledzy ze Świącian pozwalali i na to. Poza tym, jeżeli chodzi o wyrwanie piłki, to nie mogliśmy im sprostać nie mając siły i wprawy ku temu. Trzeba tu zaznaczyć, że drużyna koszykówki gospodarzy była o wiele silniejsza pod względem fizycznym i technicznym od naszej. Nasi koszykarze, lżejsi od przeciwników, po prostu odskakiwali przy zderzeniu się od nich jak piłki. Toteż w takich wypadkach tracili prawie zawsze piłkę. Przegranej w siatkówkę możemy się doszukać w złym wystawianiu na ścięcia i braku ścinaczy.

W Świącianach każdy ścina i każdy dobrze wystawia. A u nas? Dwóch lub trzech ścina i tyluż wystawia na ścięcia. Największym błędem z naszej strony było to, żeśmy nie zażądali podniesienia siatki do przepisanej wysokości. Wszak przyzwyczailiśmy się wystawiać na ścięcia i ścinać przy siatce naciągniętej przepisowo. Dostosować się zaś do niższej było bardzo trudno tak wystawiającym piłkę jak i ścinającym. Dalszą przyczyną przegrania zawodów było duże przemęczenie spowodowane uciążliwą i niewygodną podróżą, a także złą pogodą.

W zeszłym roku, gdy przyjeżdżali do nas Koledzy ze Świącian, odpoczywali cały prawie dzień i noc, dopiero później grali. A my jak? Jechaliśmy całą noc, z rana byliśmy tam, a po południu już graliśmy. A jeszcze podczas gry lał deszcz i było zimno. Wszystko to było wielkim błędem. Zostaliśmy pokonani z własnej winy. Dlaczego nie mogliśmy porozumieć się ze Świącianami wcześniej, gdy było ciepło i pogoda sprzyjała? Jest jedna tylko odpowiedź. Marudziliśmy. Braliśmy się opieszale i niechętnie i zamiast jak najprędzej załatwić sprawę wyjazdu — zwlekaliśmy. Myśląc o wygraniu musieliśmy energicznie brać się do czynu i wykorzystywać wszystkie sprzyjające okoliczności.

Na wiosnę przyjeżdżają do nas znów Koledzy ze Świącian, Głębokiego i Dru. Musimy się teraz porządnie przygotować. Będziemy mieli ciężką walkę z przeciwnikami wywiczonymi i przyjeżdżającymi nie tak jak my po klęski, lecz po zwycięstwa. Pomyślmy więc o rewanżu na serio. Spotkajmy godnych przeciwników godnie!

L. Cytowicz kl. VIII.

Z rozważań „człowieka dojrzałego“

Było to w roku 1930. Pamiętam, jak przyprowadzono mię do jakiegoś dużego czerwonego gmachu, sterczącego aż hen za miastem wśród gruzów i wydm piaszczystych. Powiedziano, że to gimnazjum. Co dalej było, tego dokładnie nie wiem.

Przypominam, że ciągnano mię po jakichś ciemnych, wąskich korytarzach. Zaprowadzono do jednej, następnie do drugiej sali, pytano, mówiono, tłumaczono... Kto był ze mną, tego też nie wiem. Wiem tylko, że kazano mi siedzieć przy jakiejś dość ładnej koleżance, więc skromnie siedziałem obawiając się nawet podnieść wzrok, dopóki wreszcie jakiś bardzo energiczny profesor nie zbudził mię z leżania. Ten z kolei długo coś tłumaczył (właśnie... właściwie...), gestykulując jednocześnie, o jakichś roślinach i tworach, o których ja, ma się rozumieć, pierwszy raz słyszałem.

Po tym egzaminie — wykładzie przysła najgorsza chwila — deutsch. Pamiętam już dokładnie, jak jakaś starsza pani pragnęła usilnie przeprowadzić z nami dialog w tym miłym języku, ale byliśmy na tyle skromni, że zawsze wychodził monolog. „Stał się cud pewnego razu...“ U nas się nic nie stało. Egzamin się skończył. —

Nazajutrz ktoś mi powiedział, że zostałem przyjęty do klasy III-ej z poprawką z języka niemieckiego. Na tym się narazie skończyło. Nie zdążyłem nawet spojrzeć na moją sąsiadkę z egzaminu, a zabrano mię do domu, gdzie przedstawiłem egzamin z niemieckiego w tak barwnych słowach, że rodzice myśleli, iż naprawdę urodziłem się Niemcem.

Po letnich wywczasach przytransportowano mię do Dżisny wraz z wszelkiego rodzaju tłumokami. Ulokowano na kwaterze udzielając jednocześnie mym opiekunom władzy patrymonialnej a w ogóle wszelkiej, jaka tylko mogła być (in potestate). Następnie posłyszałem:

„będziesz chodzić do gimnazjum, by kiedyś był z ciebie człowiek. Pamiętaj więc, ucz się pilnie i bądź posłuszny“. Ojcowski pocałunek i koniec. —

Zostałem uczniem gimnazjum. Potem przyszła nowa czapka, mundur, było trochę wrażeń, aż wszystko poszarzało i zestarzało, stało się codzienne, monotonne. Tak płynęły godziny, dni i lata. —

W tej szarzyźnie życia szkolnego było i strachu i śmiechu — wszystkiego po trochu. Nasłuchaliśmy się więc początkowo z ust starszych kolegów przeróżnych i strasznych i śmiesznych historii. Opowiadano nam wszelkiego rodzaju „grandy“, podawano najrozmaitsze sposoby „kiwania belfrów“, układano wreszcie ich charakterystyki. Jednym słowem musieliśmy przejść to wszystko, co zawiera „sztuba“ — dobre i złe. A więc, gdy w szkole kazano nam coś robić, poza szkołą każdy buntował się i zaklinał, że nie usłucha rozporządzenia, ale ponieważ uczeń ma krótką pamięć, więc często zapominano o swoim buncie.

— „Zawsze jednak niech „belfrowie“ wiedzą,
że z uczniami nie żarty,
bo cicho nie siedzą“.

„Nie dać sobie w kaszę dmuchać“... i t. p. Zawsze też milej na duszy, gdy się troszeczkę człowiek „postawi“ (u nas w gimnazjum są jeszcze typy specjalne „stawiających się“).

Tak było codziennie. Uczeń zawsze musiał być z czegoś niezadowolony. Stąd krytyka szkolna nie oszczędzała nikogo, nawet profesorów. No, bo ten profesor był niesprawiedliwy, ten za srogi, profesorka wreszcie, według osądzenia rodzaju niewieściego, okropna.

— „No, bo proszę sobie wyobrazić, nie pozwala nosić ani białych skarpetek, ani fartuszka ze skrzydełkami, ani też kołnierzyka z koronkami — to przecież horrendalne.

— Albo znowu, co to za grzech mieć wylakierowane „manikiury“? No, to już rzeczywiście paradne.

— Och! żeby to prędzej wyleźć z tej „budy“, tak już się przykrzyło ślęczyć „nad łaciną z jej wszelkimi „utami“ albo nad „sinusowatą“ matematyką. Ach, Boże! Ta „symfonia mathematica“. — To przecież straszne i śmieszne — na co to komu w życiu? —

Niczego sobie frazeologia sztubacka. Jednak tak było i jest. Słyszeliśmy coś podobnego z ust starszych, a w końcu wpajaliśmy to samo nowicjusom. W tym nastroju plotkarsko — buntowniczym przeminął rok pierwszy, drugi i trzeci.

Przyszły wreszcie lata nowych aspiracji, ideowych wzlotów

i ambicji z okazji pracy w samorządach szkolnych i organizacjach uczniowskich. Szukano popularności i sławy lokalnej.

Zawrzała więc cicha, krecia walka o prym, bynajmniej jednak nie w nauce — to było na uboczu. Na razie praca społeczna pochłonięła całą uwagę. Posypały się szumne hasła, piękne frazesy, kontury nowych nieuchwytnych planów. Snuła się nowa nić marzeń. Mówiono o przyszłości. Budowano ją, wyolbrzymiano. W ogóle przyszłość była czymś niesamowitym — walką o byt, tytanem dusz ludzkich, panem życia i śmierci... Młodość jednak i beztrudne życie szkolne odciągały od zastanawiania się nad zbyt zawilumieniami.

Praca społeczna zapoznała znowu z czymś nowym: z zabawami i życiem towarzyskim. Ciągły kontakt ze światkiem pozaszkolnym zmienił usposobienie, charakter, a nawet poglądy nasze. W ostatnich klasach słyszało się coraz częściej wdzięczne:

Vivat et mulieres

Tenere amabiles

Facile formosae

I te właśnie „formozy“ zaczynają odgrywać swoją rolę w życiu sztubaka. Już przyjemniej jechało się na narty lub łyżwy z miłą koleżaneczką, — no, bo to i w oczach „sztuby“ uchodziło zawsze za coś poważniejszego, inaczej się na takiego patrzyło.

W tym rozgwarze życia codziennego kiwając „belfrów“, to samemu wpadając, lawirowało się wśród klas, gdy raptem — o zgrozo!

Matura !

Stanęła przede mną w upiornej postaci.... i? Popłoch, zamieszanie....

Co robić? Opowiadano nam przedtem straszne historie, mrozące krew w żyłach, ale to było dalekie jak w bajce. Teraz....? br...

Cała wizja przeszłości i przyszłości stanęła przed nami. Myślało się dotąd, że to wszystko jakoś ujdzie na sucho — ale trudno, stało się. Matura była tuż. Dopiero teraz wyszły na jaw wszystkie grzeszki uczenia się. Oj, bieda, tyle wkuwać! Zebrało się zaś tego i z młodszych i ze starszych klas gimnazjum, ale „bezsilne gniewy, próżny żal“ ... — powiada poeta — „nic skargi nie pomogą“.

Trzeba było pogodzić się z losem i zabrać się do wkuwania, historii i szykowania „harmonijek“ ze wszelkiego rodzaju gałęziami wiedzy. Z tym i jeszcze jakimś bryczkiem w zanadrzu trzeba było iść na egzamin, Matura przeminęła spokojnie, bez strachu i mdleń. „Bryczki“ i „harmonijki“ nic nie pomogły. Dobra wola ze strony komisji egzaminacyjnej okazała się lepsza od najmistrzowszych „ściągów“.—

Krótkie: „Komisja uznaje za dojrzałych tych i tych“ i skończone.

Wolność i swoboda, „dojrzały człowieku“! Rób, co chcesz, nikt cię nie przyłapie, chyba ktoś z P. P. Początkowo była radość, a potem... rozczarowanie. Za dużo okazało się wolności, tak że uczuło się aż pustkę wokół siebie. Wszystko bowiem dawne musiało się opuścić. Klasy, ławki trzeba było pozostawić i iść. Po drodze nowości: nowy tłum, nowe otoczenie, nowe zwyczaje, inne przepisy, inny nastrój. W to trzeba było wciskać się i z tym płynąć. Nie było tu tej szczerej przyjazni szkolnej, wszystko nieznane, wrogie. Tu trzeba wyczuwać nastrój, panujący w tym brutalnym motłochu, w przeciwnym bowiem razie zgębną, zniszczą i rzucają na dno. Zachłyszysz się jeno falą i legniesz w słodkim bezwładzie nieznany i zapomniany. Nikt ci nie pomoże, nie poda przyjacielskiej dłoni, nie wskaże ruchem wychowawcy wyjścia. Po co, przecież „dojrzały człowiek“. Wychowywali dość w szkole.

Teraz płyn „dojrzały człowieku“, młody inteligencje. Walcz, bo jesteś wychowany, przygotowany do życia. Na bruk wyrzucono dziecko, aby żyło. Ale to nic — płyn. Gdzie wylądujesz, jakie niebo zobaczysz nad sobą — dziś nie wiesz. Płyn, by żyć — przynajmniej chwilą, może tylko marzeniami.

Bo jak życie zaczęło się od górnolotnych ideałów i marzeń, tak na marzeniach się kończy.

L. Drozdowicz.

Z Dzisny — w świat!

Dn. 2. VI. 35 r. wyruszyła z Dzisny wycieczka szkolna. Mieliśmy zwiedzić Polskę, a szczególnie poznać Śląsk. Podręczniki szkolne, operujące statystycznymi zestawieniami i datami, najgorętsza dyskusja o rozwoju naszego kraju nie mogą nas zapoznać dokładnie z poszczególnymi rodzajami pracy społecznej, w których potęga Państwa ma zapewnione źródło rozwoju i gdzie zbiorowa akcja twórcza buduje podwaliny gospodarki narodowej.

Nareszcie rozmieszczeni po 6 osób w każdym przedziale, w specjalnie do naszej dyspozycji oddanym wagonie, w którym stale podróżowaliśmy, wyruszamy kl. III i VII pod przewodnictwem p. prof. Żebrowskiej i p. prof. Gergovicha. Lokomotywa sapie ciężko, wgryza się zębami kół w przestrzeń. Do Wilna dojeżdżamy z rana. Pogoda nieszczególnie nam sprzyja. Kłęby pyłu wodnego opadają nam pod nogi, kiedy wchodzimy na Górę Zamkową. Kochane, prześliczne Wilno!

Jasnoblękitną wstęgą opasując miasto mkną wody Wilii i wsiąkają gdzieś za siną panoramą lasów. Czas schodzić na dół. Oglądam się. Krzysz Traugutta, spowity zwojem mgły, zarysował się na szczycie góry zalamując na sobie promienie słońca, które wynurzając się z pod kłębow chmur figlarnie uśmiechało się do wileńskich parków. Idziemy zwiedzać kościoły. Szczególny podziw wzbudził we mnie kościół św. Piotra i Pawła. Co za bogactwo ornamentacji!

Po południu złożyliśmy hołd Sercu Marszałka i prochom Jego Matki. Wśród szarych grobów żołnierskich — potężne mauzoleum. Trwożliwe promienie słońca padały na czarną granitową płytę. Na rzęsach uczułam łzy — nie wstydziłam się łez wobec słów Wielkości: „Kto, mając wybrać wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła, niechaj umie spać, gdy źrenice czerwone od gromu i słycać jęk szatanów w sosen szumie“.

Wracaliśmy z cmentarza smutni. A jednak czułam się pełną sił.

W miejscu wiecznego spokoju Serca Wodza znalazłam rozkaz: „strzeż ziemi tej“.

W tym samym wagonie, zaledwie zdążyliśmy się na czas ulokować, mknijemy do Warszawy. Stolicą byłam oszołomiona. Pierwszy raz zobaczyłam tempō nowoczesnego życia. Z zawrotną szybkością mkną auta i jak złe osy brzęcząc znikają na zakrętach ulic. Olbrzymie masy ludzi na dworcach kolejowych, ryk syren fabrycznych, zgiełk i światła reklamowe — wszystko to mieszało się w jedną całość i odorzało. Stopniowo jednak opanowałam się i zwiedzając Stare Miasto miałam chęć ukryć się pod arkadami kamienicy Baryczków, zostać w tym mieście wytężonej pracy. Około cytadeli oczekiwaliśmy na otwarcie Zamku Królewskiego, gdzie zwiedzaliśmy pamiątki historyczne. Zdążyliśmy być nawet w Zoo — co za pyszne okazy zwierząt!

Następnie odjechaliśmy do Krakowa. Tu zwiedzaliśmy kościół Mariacki ze słynnym ołtarzem dłuta Wita Stwosza, majestatyczny Wawel i prochy królów. Jak cicho i spokojnie śpią w podziemiach, z dala od zgiełku i gwaru miasta!

Byliśmy w Sukiennicach, w tym piastowskim gmachu. Oglądaliśmy obrazy w Muzeum Narodowym, potem w Pałacu Prasy obejrzeliliśmy pracę drukarni. Na drugi dzień złożyliśmy na Sowińcu ziemię, przywiezioną z kopca granicznego. Czułam się szczęśliwą, wioząc taczkę ziemi, że i mnie nie zabrakło w liczbie ludzi, wznoszących niezniszczalny pomnik chwały Marszałkowi.

Przyjeżdżamy do Wieliczki. Kopalnią soli byłam zachwycona. Co prawda miałam trochę strachu idąc wąskimi, krętymi korytarzami —

blask lamp w podziemiu napawał trwogą — ale jak tylko orkiestry rozbrzmiały w sali Sienkiewicza — roześmiałam się. Odważnie kroczyłam nad jeziora. Co za artyzm w postaci św. Kingi! Dłonie robotników potrafią arcydzieła stworzyć. Ciężka musi być praca w kopalniach — ludzie jednak nie boją się nigdzie walczyć o kawałek chleba. Zdobywają ukryte skarby w ziemi, coraz głębiej zapuszczają się w niebezpieczne czeluści. Od czasu do czasu odczuwaliśmy huk podziemi. Windą dostajemy się na powierzchnię ziemi. Wieczorem wracamy do Krakowa. Nazajutrz idziemy na Skalkę — oddajemy cześć bohaterom. W Ratuszu podziwiamy urny. Zaledwie dwa dni byliśmy w Krakowie, a już go dobrze znamy. Czułam się świetnie — miastoppełne pamiątek zmusza do szczegółowego zapamiętywania widzianych miejsc. Po wyjściu z cyrku Staniewskich udaliśmy się na pociąg, — i jesteśmy w Chorzowie. Jeden z robotników objaśnił nam szczegółowo system lania żelaza i funkcję kolosalnych pieców, walców i odlewni. Patrząc na straszliwy rytm maszyn dopiero można zrozumieć potęgę człowieka. Chorzów — to Polska Przyszłości i kuźnia mocy narodowej! Rozmach i piękno nieprzerwanej pracy konkretyzują wzniosły nakaz: podnieść Polskę wyżej. — „Pozdrowienie dla Kresów wschodnich od górników śląskich“ — żegnali nas ludzie podziemi. —

Odjeżdżamy do Częstochowy pozostawiając za sobą pomruki fabrycznych gardzieli, zakłady przemysłowe, które miazdząc surowiec ziemi śląskiej tworzyły dalej swe dzieło produkcji. W Częstochowie złożyliśmy na Jasnej Górze hołd Królowej Polski i widzieliśmy skarbiec pełen cennych pamiątek. Byliśmy w fabryce szkła. Na każdym kroku stosy różnorodnych słoików i butelek. Okropne gorąco. Błyskawiczne ruchy robotników. Roztopiona lawa zapada w najrozmaitsze formy, aż stanie się skryształizowanym cudem. Wychodzimy z fabryki. Słoneczna tarcza kryje się za słupy telegraficzne, ukośnym rzutem spada na granitowe zręby furty klasztornej i rozsypuje się miliardami iskier wraz z promieniami hut fabrycznych na szybach naszego wagonu.

Powracamy do Warszawy. Nie byliśmy jeszcze w Łazienkach, a więc niezwłocznie idziemy na spacer. Zaczarowany ogród „z tysiąca i jednej nocy“! Zwiedzamy Belweder. Pozwolono nam wejść do gabinetu, w którym zmarł Marszałek. Cicho było w sali śmierci — zdawało się, że otworzą się oszklone drzwi, wejdzie Wódz i uśmiechnie się do nas na powitanie... Wycofaliśmy się bezszelestnie.

Sejm i Senat zaimponowały swą wielkością. Nazajutrz, oprowadzani po salach Muzeum Wojskowego i Narodowego, podziwialiśmy najcudowniejsze przedmioty minionych epok.

Nikt z nas nie miał humoru w powrotnej drodze. W Wilnie jeszcze spacerowaliśmy po Bernardynce, byliśmy w teatrze, ale stanowczo mieliśmy zamiar protestować przeciw odjazdowi do Dżisny. Niestety — trzeba było wieczorem odjeżdżać. Pod rytmiczne kołysanie wagonu usnęłam.

Gdy obudziłam się, wróble świergotały na brązowym dachu st. Ziabki. Wsiadamy i furmankami podążamy do Dżisny, by tu podzielić się swymi wrażeniami i by mówić o wolnej i potężnej Polsce.

J. Jakubionkówna kl. VIII.

Z wystawy szkolnej.

— Polku, idziemy dziś na wystawę. Mam właśnie teraz dyżur, więc musisz mi pomóc w pilnowaniu. Zgoda? —

— Ależ tak, z przyjemnością mogę się przejść. Po pierwsze lubię oglądać wystawy, a po drugie łącząc pożyteczne z przyjemnym skorzystam z okazji i podzielę się mymi wrażeniami z czytelnikami „Naszego Głosu“. Zobaczymy, jak pracowało gimnazjum w ubiegłym roku szkolnym. Zastrzegam tylko, że będę dość ostro krytykował. Pomagając bowiem przy zeszłorocznej wystawie tym bardziej poznam się na brakach tegorocznej.

— Ależ prosimy bardzo. Tak znowu się nie obawiamy — zachęcała mnie koleżanka.

— W takim razie idziemy.

Wkrótce byliśmy u celu. Sala gimnastyczna.

— Tu? — pytam. — Nie. Wystawa ma swe locum w gabinetach: fizycznym, przyrodniczym i sali robót. —

— Tak? Sądziłem, że wystawa będzie w sali gimnastycznej, jak zawsze. No to już swego rodzaju nowość, a także coś niby rywalizacja międzygabinetowa. Ciekawe! —

— O proszę, tu na lewo znajduje się wystawa z języka polskiego, niemieckiego, francuskiego i historii.

— O jej! Wystawa „języczna“.

Podchodzimy bliżej. Długi stół, obładowany zeszytami klasowymi i domowymi, pismami i pocztówkami francuskimi. Tu panorama Paryża, dalej coś innego. Myślni przenosimy się do dalekiej Francji, wzrokiem zaś śledzimy pocztówki i czasopisma. Na stole ułożone wszystko pięknie i systematycznie. Na ścianie

porozwieszane widoczki i różne tablice. Skromnie, lecz dobrze.

— Przepraszam, madame, że przerywam, ale co to jest? Czego on się tak wydziera? Wskazałem jednocześnie na podobną jakiegoś chłopaka z szeroko otwartymi ustami (jak gdyby mu ktoś przed chwilą w nos zaświecił). Skrzywdzili widać biedaka! —

— Też znowu—„zadąsowała się“. Tak wymawia się „e“ po francusku.

— Oho! W takim razie widzę, że ta wystawa z francuskiego ma nie tylko wygląd estetyczny, ale i pożyteczny, ponieważ można od razu nauczyć się wymowy.

— No, no! — tylko bez drwin — odparła.

Idziemy dalej.

— Proszę tu, zdaje się, niemiecki. —

U góry napis, na dole długi stół i to samo, co pierwej: zeszyty, pisma, albumy z pocztówkami, ponadto ilustracje do lektury w wykonaniu uczniów. Widać tutaj pracę uczniów, zwłaszcza zaś klas młodszych.

Poszliśmy dalej. — Polski. — Powaga. Już nawet nastrój przy stole jest inny. Na ścianie kilim. Na stole we wzorowym porządku leżą zeszyty i ilustracje. Wykonanie tylko uczniowskie. Bierzymy pierwszy album z brzegu i oglądamy. „Jak uczymy się gramatyki w szkole“. — Ilustracje. — Wykonanie ucznia klasy pierwszej. Świetnie!

Patrzemy dalej. — Nowe ilustracje do czytanek „Mówią wieki“. Śliczne i oryginalne wykonanie kol. Zabieliły z kl. II-ej.

Jednym słowem zdumiewa nas panujący tu nadzwyczajny ład i oryginalność poszczególnych prac uczniowskich. Szkoda, że nie widać pracy klas starszych. Z tymi wiarusami, jak widać, sprawa przedstawia się gorzej. Zaglądamy do zeszytów. Trochę za czerwono (coś chyba na pół). U dołu uwaga: „zwracaj uwagę na kropki nad „i“, zmiękczenia i znaki przestankowe. Popraw jeszcze raz correctum Nr. 1“. — Srogo, widać, z polskim. Nawet kropki się nie daruje. —

Zbliżamy się do wystawy biblioteki. Nowości. Grubaśne tomy, pyszne ilustracje, imponujące dzieła Marszałka Piłsudskiego.

Trochę dalej historia. Na stole zeszyty z wykresami synchronistycznymi i chronologicznymi.

W drugiej sali fizyka. Podłużna sala zastawiona stołami, jak podczas wykładu. Na stołach leżą zeszyty i przybory do doświadczeń. Tuż obok znajduje się sala z szafami do przyrząd-

dów. Stamtąd dochodzi od czasu do czasu jakiś stuk. Idziemy tam i widzimy, jak dwóch sztubaków z młodszych klas puszcza w ruch prowizoryczny tramwaj, stojący na stole.

—Może imy przejedziemy się?—zwróciłem się do towarzyski.

— Dobrze, dobrze — odparła — może w przyszłości. — Teraz chyba do gabinetu przyrodniczego?

Idziemy tam. Sala jedna, potem druga. Wszędzie kwiaty, akwaria, stoiki i znowu akwaria. Wspaniale!

Przede wszystkim rzuca się w oczy duże mrowisko. Ruch i życie. Praca wre. Jedna przed drugą ciągną mrówki kawałki drzewa, igieł i resztki pokarmów. Inne znowu wloką małe poczwarki. Wzrok biegnie z przedmiotu na przedmiot. Akwaria i złote rybki. Rzucam im kawałki pokarmu. Pożerają chciwie, potem wesoło nurkują w wodzie, to znowu poważnie snują się wśród wodorostów szukając pożywienia.

— Patrz, tu są nasze zbiory chrabąszczów i roślin—woła gdzieś z dala koleżanka moja. — Odrywam się od ryb i idę do tych zbiorów. Stół jeden, drugi, trzeci, dziesiąty... Każdy zastawiony pudełkami z chrabąszczami i zielnikami. Obok leżą zeszyty. Wszędzie praca uczniowska. Oglądam zeszyty, jeden, drugi, trzeci. Wzorowy porządek i systematyczność, a przede wszystkim czystość.

— Motyle z okolic Dżisny — słyszę znowu skądś znajomy mi głos.

Liczymy. Jeden, dwa trzy, dziesięć, dwadzieścia... dużo. Śliczne, różnokolorowe, odbijają się na tle zieleni.

Podnoszę wzrok na ściany. Tablice i mapy, to geograficzne, to przyrodnicze. Wykonanie też uczniów klas młodszych.

Przechodzimy do sali robót, wciąż jeszcze pod wrażeniem wystawy przyrodniczej.- Sala robót i rysunków. Uderza zapach żywicy, coś jak w lesie. Podchodzimy do stołów, uszeregowanych w trzech rzędach. Od razu rzucają się w oczy stopy wszelkiego rodzaju prac uczniowskich.

Poszliśmy oglądać dział robótek kobiecych. Ponieważ jednak moja przewodniczka miała ciągle inne mniemanie i zdanie co do wyglądu estetycznego prac dziewczęcych, więc ja przypomniałem coś tam z „golonym“ i „strzyżonym“, usunąłem się skromnie na stronę i obserwowałem dalej prace uczniowskie, zwłaszcza rysunki.

Wreszcie robimy odwrót i opuszczamy salę.

Życie organizacyjne.

Dnia 17.VI.36. Walne zgromadzenie Samorządu Uczniowskiego „Współpraca” wybrało członków Zarządu.

Prezesem został kol. J. Babicz (VII), wiceprezesem kol. J. Botwinionek (VII), skarbnikiem kol. Z. Jacyna (VII), sekretarzem kol. M. Puciatówna (VII).

* * *

Dnia 29.IX.36. Walne zgromadzenie członków U. S. W.

Na zebraniu tym zatwierdzono budżet na rok szk. 1936/37. Tegoroczny fundusz redakcyjny wynosi 700 zł.; w tym 600 zł. przeznaczono na druk pismka, resztę zaś t. j. 100 zł. na Redakcję i Administrację. Oprócz tego wybrano Komisję Rewizyjną, w której skład wchodzi: kol. Kisielówna (VI.I), kol. B. Łatanowski (VIII), kol. Szubicz (VIII). Na miejsce wiceprezesa kol. Botwinionka, który opuścił gimnazjum, wybrano kol. H. Puchalskiego (III).

* * *

W skład Samorządu wchodzi sekcje:

literacka	sekcyjny	kol. B. Szubicz
dramatyczna	„	L. Sinicówna
L. O. P. P.	„	J. Stomówna
muzyczna	„	M. Własienko
sportowa	„	A. Wyszatko
światlicy	„	E. Spiczonek
BratniejPomocy	„	Z. Szamszur

* * *

Z prac Komitetu Redakcyjnego „Naszego Głosu“.

1) Celem wzmożenia popularyzacji oraz kolportażu „Naszego Głosu“ obniżono cenę numeru z 50 gr. na 25 gr; prenumerata roczna wynosi 1 zł.

2) Redakcja, troszcząc się o wygląd zewnętrzny swego pisma i chcąc nadać mu szatę bardziej nowoczesną, ogłosiła konkurs na okładkę z dwiema nagrodami pieniężnymi:

I nagroda . . . 5 zł.

II nagroda . . . 3 zł.

Do konkursu stanęła klasa ósma.

Projekty złożyli: kol. A. Apicionek (2)

L. Cytowicz (2)

W. Kożan (1)

A. Maszkiewicz (2)

A. Szulman (1)

Razem 8 prac. Ponadto Redakcja otrzymała jeden projekt od byłego wychowanka naszego gimnazjum p. J. Mirskiego.

Pierwszą nagrodę (5 zł.) przyznano kol. A. Maszkiewiczowi, drugą (3 zł.) kol. W. Kożanowi.

Oprócz powyższych projektów nagrodzonych wyróżniono projekt A. Szulmana i L. Cytowicza. Należy podkreślić, że konkurs wzbudził duże zainteresowanie i przyniósł na ogół zadawalniające wyniki.

3) Za najlepsze prace uczniowskie, umieszczane w „Naszym Głosie“, będą przyznawane nagrody w postaci książek.

Jako nagrody do pierwszego numeru wyznaczono książkę Ossendowskiego „Mocni ludzie“ dla autora(rki) z klas: IV, VII, VIII, oraz Smolarskiego „Przygody polskich podróżników“ dla klas: I, II, III.

* * *

Plan pracy sekcji muzycznej na rok szk. 1936/37.

Sekcja muzyczna wykazała, że jest obok sekcji dramatycznej, najżywotniejszą organizacją samorządową. Obie powyższe sekcje odznaczają się tym, że wykonują dokładnie to, co stawiają za cel w planie pracy.

Sekcja muzyczna zorganizuje w tym roku szkolnym cztery audycje, z których jedna będzie poświęcona ogólnym formom muzycznym (symfonia), a pozostałe — muzyce polskiej (Szopen Moniuszko, polska muzyka współczesna). Na audycje składają się, jak wiadomo, popisy chórów, orkiestry i solistów oraz odczyt, wyjaśniający wykonane utwory. Oprócz audycji sekcja muzyczna

zorganizuje części muzyczne i wokalne akademii ku czci świąt narodowych (3-ci maja, 11 listopada i inne).

Pod zarządem sekcji znajdują się następujące zespoły muzyczne: 1) chór męski, 2) chór mieszany, 3) nowo utworzony chór żeński, 4) orkiestra dęta, 5) orkiestra smyczkowa, 6) zespół koncertowy. Poza tym sekcja współpracuje ściśle z orkiestrą smyczkową Tow. Muzycznego.

W tej sekcji mało się mówi, a wiele się.. śpiewa i grywa.

* * *

Uwaga! W listopadzie staraniem sekcji dramatycznej ma być wystawiona na scenie w „Domu Ludowym“ tragedia Sofoklesa „Antyгона“. Reżyseria spoczywa w rękach p. prof. Wołoszczuka.

O naszej świetlicy.

Porównując poprzednie lata istnienia naszej świetlicy z bieżącym rokiem szkolnym musimy stwierdzić, że świetlica nasza została rzeczywiście „postawiona na nogi“. Stała się ona nie tylko miejscem rozrywki, lecz także ośrodkiem kulturalnego życia pozaszkolnego naszej młodzieży.

W świetlicy naszej znajdujemy wszystko, co dla nas uczniów, jest konieczne. Wielka ilość pism codziennych i tygodników o charakterze literacko-naukowym daje nam bogaty materiał. Radio nadal spełnia swe zadanie. Zwolennicy gier (ping-pong, szachy, warcaby) nie mogą narzekać na nudy.

Na szczególną uwagę zasługuje podręczna biblioteczka, mieszcząca się w świetlicy. Można tam znaleźć między innymi następujące książki:

- „Słownik języka polskiego“ (warszawski) 8 t.
- „Podręczny słownik geograficzny“ 2 t.
- Edward Stonz „Z dziedziny nauki i techniki“ 4 t.
- Encyklopedia „Świat i życie“ 2 t.
- C. A. Chant'a „Cuda wszechświata“.
- Sir William Bragg „Tajemnice atomu“.
- E. Porębski „Wielcy twórcy nauki“.
- Lassar-Cohn „Chemia w życiu codziennym“.
- „Od gwiazdy do atomu“ Bibl. wiedzy s. II t. 2.

Paweł de Kruif „Walka nauki ze śmiercią“.

W. Buddenbrock „Świat zmysłów“.

„Wilno i ziemia wileńska“ Wyd. Woj. Kom. Region.

M. Wieliczko „Polska w latach wojny światowej w kraju i na obczyźnie.

„Wiedza o Polsce“ Wyd. Wiedzy o Polsce 3 t. i wiele innych cennych pomocy.

Widzimy więc, że nasza „kuźnia pracy“ stała się dla nas rzeczywiście ośrodkiem samokształcenia i samowychowania. Młodzież męska naszego zakładu rozumiała już i docenia znaczenie świetlicy w życiu ucznia. Jedynie koleżanki rzadziej zaglądały do niej. Czym sobie wytłumaczyć to zjawisko? Czy zrozumienie znaczenia świetlicy w życiu ucznia wśród naszych koleżanek nie istnieje? A może koleżanki uważają, że poza lekcjami nic uczeniec obowiązuje?

Doprawdy, smutny, niczym nie uzasadniony objaw. Kończę życząc, aby ściany naszej świetlicy częściej widziały przy stołach pochylone główki naszych koleżanek.

J. Babicz kl. VII.

Ile i co czytamy

Sprawozdanie za ubiegły rok szkolny.

Uczniowie naszego gimnazjum korzystają z biblioteki szkolnej, która dzisiaj liczy razem około 4500 tomów (w tym biblioteka niemiecka 588 tom.). Biblioteka nasza jest podzielona na 10 działów, z których 8-my dział (beletrystyka) jest największy, liczy bowiem 2234 t. oraz dział 9-ty (historyczny) — 650 t. Oba te działy są najwięcej czytane.

Biblioteka wydaje książki uczniom 2 razy w tygodniu po lekcjach. W końcu ubiegłego roku szkolnego została przeprowadzona statystyka czytelnictwa w naszym gimnazjum. Jest ona ciekawa i uderzająca ze względu na stan czytelnictwa w poszczególnych klasach.

Ogółem uczniowie przeczytali w ciągu ubiegłego roku szkolnego około 5000 t., co daje przeciętnie na ucznia 25 t. W porównaniu z poprzednim rokiem cyfra ta jest wyższa.

W poszczególnych klasach statystyka przedstawia się następująco:

1. kl. III	900 t.	średnio	na ucznia	39 t.	czyli	28%
2. kl. VIII	840 t.	—	—	30 t.	—	22%
3. kl. VII	740 t.	—	—	27 t.	—	20%
4. kl. II	700 t.	—	—	16 t.	—	11%
5. kl. VI	650 t.	—	—	14 t.	—	10%
6. kl. I	650 t.	—	—	12 t.	—	9%

Najpoczytniejszymi autorami w klasach niższych są: Curwood, Sienkiewicz, Jeź, Kraszewski, Sieroszewski i Reymont. Wśród klas wyższych cieszą się popularnością powieści autorów najnowszych: Dąbrowskiej, Goetla, Galsworthy'ego, Morcinka, Gojawiczyńskiej i inn.

Dzięki staraniom Dyrekcji gimnazjum biblioteka stale się powiększa. Ostatnio sprawdzono lekturę dla kl. IV oraz uzupełniono dla kl. I w większej ilości egzemplarzy.

Nowości naszej biblioteki.

Conrad J.	„Tajfun“.
Gardecki J.	„Było nas trzech“.
Choynowski P.	„Pokusa“.
Tetmajer K.	„Ksiądz Piotr“.
A. de Saint Exupéry	„Nocny lot“.
Lipiński W.	„Wielki Marszałek“.
Weysenhoff J.	„Pod piorunami“.
Dąbrowska M.	„Tryumf Dyonizego“.
— “ —	„Szkiełko“.
Skarżyński S.	„Na R. W. D. 5 przez Atlantyki“.
Burzyński Z.	„Pomiędzy chmurami“.
Karpiński S.	„Polskie skrzydła“.
Suchodolski B.	„Kochaj życie — bądź dzielny“.
Illakowiczówna K.	„Wiersze o Marszałku Piłsudskim“.
Goetel F.	„Kar — Chat“.
Gojawiczyńska P.	„Górnoślązaczka“.
Dickens K.	„Klub Pickwicka“.
Bohomolec B.	„Wyprawa jachtu „Dal“.
Turey K.	„Bolesław Prus a Romantyzm“.
Wojciechowski K.	„Henryk Sienkiewicz“.
Wasylewski S.	„Na końcu języka“.

Humor i satyra.

P. prezes mówi...

W związku z powołaniem kol. Babiczka na stanowisko prezesa Uczniowskiego Samorządu „Współpraca“ przy Gimnazjum Państwowym im. ks. G. Piramowicza w Dziśnie i w związku z objęciem funkcji przez niego, zwróciłem się do nowo upieczonego prezesa z prośbą o udzielenie wywiadu dla „Naszego Głosu“.

Wsiadłem do metro i udałem się do dziśniejskiego drapacza chmur, w którym mieści się sekretariat U. S. W. Wjechałem windą na 10-te piętro, legitymacja dziennikarska otworzyła mi wszystkie drzwi. P. Prezes przyjął mnie w swoim stylowo urządzonej gabinecie. Na ścianach gobeliny i arras (made in Horki koło Dżisny), na podłodze dywany, kryształowa lampa zwisa ze stropu; w złote ramy oprawiony wisi statut U. S. W. — Rozdziawilem usta, wytrzeszczyłem gały, lecz przyszedłem rychło do siebie i wyluszczyłem cel mego przybycia prosząc o wywiad.

P. prezes uśmiechnął się życzliwie, poprawił okulary na nosie, otarł pot z łysiny, skinął głową łaskawie i odezwał się w te słowa:

— Proszę pana, właściwie z zasady nie udzielam wywiadów! Od czasu gdy zostałem prezesem, nie zaznałem spokoju. Ach, te wywiady, ci dziennikarze, ta prasa (czytać z patosem!!!). Wszędzie są, wszędzie mię przesładują (czytać tragicznie, uронić łezkę!). Jakiś niemiecki korespondent domaga się fotsu, angielski-auto-grafu, a francuski pyta o zdrowie i co jadłem na śniadanie! Nie rozumiem, czemu zawdzięczam tę popularność. Ach, taki to już los każdego wybitnego człowieka. Osobiście nie znoszę rozgłosu, jestem skromny, lecz przedstawicielowi „Naszego Głosu“, tego słynnego pisma, w drodze wyjątku udzielię wywiadu. —

Podziękowałem i spytałem, jak się przedstawia program pracy U. S. W. na rok szkolny 1936/37.

— Co do tego, proszę pana, mogę Czytelników „Naszego Głosu“ zapewnić, że wszystko przedstawia się znakomicie, praca wre — powiedział p. prezes. Baczną uwagę zwrócimy przede wszystkim na wychowanie fizyczne.

Silne i zdrowe pokolenie — to jest hasło sekcji sportowej. Działamy w myśl zasady; w zdrowym ciele — zdrowe ciało! Przede wszystkim będziemy popierać lekką atletykę, a szczególnie

biegi. Jest to bowiem gałąź sportu związana ze szkołą. Biegać, uciekać, zwiewać, to jest żyłka sztubacka. Wartościowe nagrody będą popierały szlachetną rywalizację na tym polu.

Najlepsi biegacze, uwaga! Pierwszą nagrodę przyznamy temu, który najwięcej razy zwiął z gimnastyki. Otrzyma wartościowy upominek w postaci bryka z powyższego przedmiotu.

Poza tym mamy zamiar eksploatować wszystkie nasze urządzenia sportowe. Mamy np. wspaniałą bieżnię, wybudowaną wielkim nakładem kapitału i energii. I co się stało? Bieżnia przez lato zarosła chwastami. Karygodne, woła o pomstę do nieba! Za staraniem p. prof. Gimnastyka chwasty już usunięto. Zastanawiałem się właśnie nad sprawą eksploatacji bieżni i doszedłem do przekonania, że nie możemy pozwolić na dalsze marnotrawstwo, trzeba ją wykorzystać w racjonalny i praktyczny sposób, a mianowicie zasiać ją owsem. Już p. prof. Gimnastyk posypał ją nawet kainitem.

Czynimy to dla dobra sportu, popieramy w ten sposób motoryzację w Dziśnie. Mamy przecież w Dziśnie jedno auto. Jak fama głosi, jest to auto parokonne, ciągnie je zazwyczaj para koni.

Poza tym pojawił się nagle na ulicy Dżisny motocykl, nie obejdzie się więc w tym wypadku bez zwierząt pociągowych, a te podobno nie znoszą benzyny, lecz lubią owies. Z czasem przejdziemy do gospodarki trójpolowej, tymczasem tylko owies. Tyle co do sportu.

— Co do innych działów chciałem wspomnieć o L. O. P. P.-ie. O zadaniach L. O. P. P.-u nie ma potrzeby mówić, wszyscy znają je doskonale. Chciałbym jednak wspomnieć o specyficznych warunkach dziśnińskich. Sekcja L. O. P. P. postawiła sobie za cel w radykalny sposób odgazować Dżisnę. Piękny, wzniosły cel! Wszelkie ćwiczenia antygazowe odbędą się w terenie zagazowanym, a mianowicie na dolnym korytarzu.

— Chciałbym jeszcze wspomnieć o sekcji muzycznej. Na żądanie jednego z pp. profesorów zostanie zorganizowana orkiestra cymbalistów. Stanowisko dyrygenta jeszcze nie obsadzone, lecz na członków tej orkiestry zgłosiła się prawie cała kl. VII. Przy współudziale tej orkiestry wystawimy balet „Harnasie“ Szymarowskiiego.

— Panie Prezesie, kto zagra główną rolę? —

— Prawdopodobnie ja sam. Umieć przecież dobrze tańczyć, jestem w ogóle bardzo muzykalny; jako prezes tańczę tak, jak mi z góry zagrają.

— Co do innych spraw, noszę się z myślą wprowadzenia kilku

nowości. Przede wszystkim zorganizuję wkrótce oddział „Kropki Mleka“ dla klasy 1-ej, a „Poradnię Mażeńską“ dla kl. VIII. Poza tym mam zamiar utworzyć sekcję asekuracyjną.—

— Od czego będzie p. Prezes ubezpieczał? Od ognia? —

— Nie.

— Więc? —

— Od wypadków samochodowych i motocyklowych. Właśnie w związku z tą motoryzacją. Nie ma już bezpieczeństwa ruchu w Dziśnie. Zewsząd rozlega się huk motoru; to na tej ulicy, to na tamtej. Nikt nie jest pewien życia. Wczoraj przejechało kota. Mimo natychmiastowych zabiegów p. dr. Eskulapowicza biedak przeżył się na łono Proroka. Pies zaś p. prof. W. paraduje bez ogona, stracił, podobno, takowy w katastrofie motocyklowej. Każdy będzie się mógł ubezpieczyć za drobną opłatą. No, to jest wszystko, co mogę panu powiedzieć, jako prezes U. S. W.—

— Dziękuję bardzo, panie Prezesie. Chciałbym jeszcze o jedno spytać. Czy można będzie ubezpieczyć się od oceny niedostatecznej?

— Owszem, owszem. Dla dobra ogółu jestem gotów ponieść największe ofiary!

Na tym wywiad się zakończył.

B. Szubicz kl. VIII.

Echa z nad ulic Dżisny.

Smutna nasza jesień polska, płacząca co chwila i kapryśna jak dziecko, znów zawitała do nas. Pożegnał nas już bocian, pożegnały i żórawie, których dziwna pieśń dotąd jeszcze brzmi w uszach, jakby przypominając nam chwilę szczęścia, które minęło już bezpowrotnie. Z każdym spadającym liściem, z każdym żalostliwszym jękiem wiatru budzi się w nas świadomość smutku i osamotnienia. Trudno jest znaleźć receptę na zabicie nudy.

Na próżno szukałem sposobów zabicia czasu, kiedy zbrzydło mi „wkuwanie“ nudnych regulek. Nie pomogła ani gazeta, ani „skrobanie“ artykułów do... „naszej gazety“, pomimo że wybrałem temat, traktujący o życiu wesołym, pełnym barw i poezji—pisałem (przyznam się na ucho) nowelę erotyczną. Lecz kiedy i te środki zawiodły, nie mając nic do roboty wybieram się, ot tak sobie, waleśać się

po „mieście“. Nastrajam siebie na ton możliwego w tak „psi czas“ optymizmu i idę bez celu, jak przystoi na dzisiejskiego „łowcę przygód“.

* * *

„Panicz! Panicz! Paczykaj. Biary sabie mierku hrusz za dziesiac hroszy“. Psiakr... zakląłem w duchu, po co mnie diab... (przepraszam!) po co tu przyszedłem na rynek. Zawróciłem na miejscu i podążyłem w stronę idącego ku mnie chłopca (dobrze go znam), który przywiózł na rynek gruszki, aby po sprzedaniu zalać sobie „robaka“ z „hora“ i „taski“. Niebawem za 10 groszy napełniłem dwie puste kieszenie mojej „nakidki“ wybornymi gruszkami.

Nie marudząc dużo zbaczam z linii stragarów i wpadam w wir życia rynkowego. Nie uszedłem paru kroków, kiedy oczom moim przedstawił się dziwny widok. Płaczący chłop zeznawał coś przed policjantem, który widocznie gdzieś się śpieszył, bo machnął tylko ręką i odszedł. Podszedłem i spytałem o powód lamentu: „Aj panok, armiak prapau“ — usłyszałem lakoniczną, bólem tchnącą, odpowiedź.

Zrozumiałem. Nie chcąc jednak jątrzyć poszkodowanego milczkiem czmychnąłem znowu pomiędzy stragany. Przez jakiś czas szedłem spokojnie, kiedy nagle spostrzegam przed sobą zbiegowisko! słyszę urywane zdania „o mein zerbrochenes Herz. Ja klanus na mein zerbrochenes Herz, szto eta nie wasz armiak... doch mich nicht interessirt... itd. itd.“...

Istna wieża Babel — pomyślałem przez chwilę — i z lękiem skierowałem się ku wylotowi ulicy.

* * *

„Tańczyli na moście,
Tańczyli do rana
Żebracy . . .
Wariaci, chytre szpicle,
Tańczyły tam ulice,
Latarnie, szubienice,
Hycle.“

Znalazłem się na moście. Tutaj także panował ruch. Widziałem nawet dwóch zataczających się pijaków, którzy przywieśli mi na myśl zwrotkę z Tuwima. Nie wiem tylko, czy to byli hycle i wariaci, ale że tańczyli, to widziałem. Jeden to słynny Wałodźka, a drugi... zresztą, po co mi drugi. Ot, gdyby Tuwim nie napisał tego wiersza, na pewno bym kropnął coś podobnego.

Aha! — Jeszcze jedno zdarzenie, związane z mostem i poezją,

Pamiętam, było to rok temu. Spacerowałem z „największym poetą“ Dżisny po tym samym moście. Rozprawialiśmy o różnych sprawach. Wśród tej pogawędki zwierzaliśmy się sobie z największych naszych tajemnic. I pamiętam jak dzisiaj, jak mój przyjaciel od muzy mówił, że koniecznie musi się zakochać, inaczej poezja jego będzie jak paw bez ogona. Przy tym ubóstwianamusi mieć wszystkie cechy Zosi mickiewiczowskiej. Na próżno dowodziłem, że z pewnych mógłby zrezygnować. Dlaczego na przykład ma się nazywać Zosia, a nie Marysia, albo koniecznie ma paść gęsi, a nie coś innego. To wszystko jednak nie trafiało do przekonania mego kolegi.

Lecz dość o tym. Wracam do domu.

* * *

„Beatus ille, qui procul negotiis“

Słusznie mówi Horacy, ale sędzę, że nie spodziewał się pisząc, że przyjdą po nim ludzie, którzy właśnie z tego powodu będą nieszczęśliwi. Jutro na łacinie niech się dzieje, co ma dziać, ja jednak dziś pozostanę „procul negotiis“, bo jestem zmęczony i muszę solidnie wypocząć po mojej „wycieczce“ po „sobaczycych pirawułkach“.

J. B. kl. VIII.

Łamigłówka.

1, 2, 3 4, 5, 6, 3 7, 8, 2, 5, 9, 10 2, 10, 11, 12 13, 5, 6
14, 15, 16 17, 5, 9, 10 (przysłowie).

Klucz:

Znaczenie wyrazów:

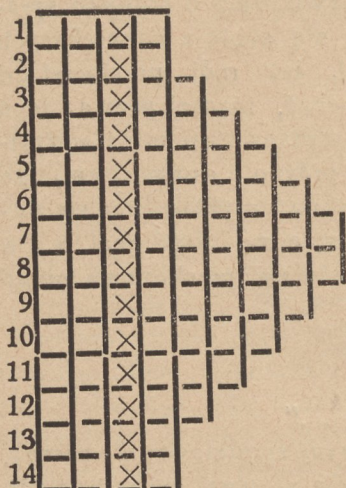
- | | |
|-------------------------------------|--|
| I. 16, 12, 14, 10, 4, 6, 5, 2, 3, 4 | — Wysoki urzędnik w carskiej Rosji |
| II. 7, 15, 17, 1, 5, | — napój podniecający |
| III. 11, 3, 13, 8, | — gatunek psa |
| IV. 9 | — głoska, o której się ostatnio dużo mówi. |

Objaśnienie:

Odcyfrować wyrazy, których znaczenie jest podane. Po podstawieniu otrzymanych liter na miejsce cyfr odczytamy pewne przysłowie ludowe.

B. Sosnowik kl. III.

Krzyżówka.



Wypełnić poziome słupki kratek wyrazami, których znaczenie podane niżej. Pionowy słupek kratek, oznaczonych krzyżykami, powinien dać imię i nazwisko polskiego pisarza.

Znaczenie wyrazów.

1) Narzędzie rolnicze, 2) miejsce zakończenia wyścigów, 3) wyspa na morzu Śródziemnym, 4) część garderoby, 5) państwo w Europie, 6) inaczej wodotrysk, 7) człowiek, który dużo je, 8) inaczej tyran, 9) bohater walk ze Szwedami, 10) stare zapiski historyczne, 11) broń artyleryjska, 12) tłuszcz, 13) inaczej cierpienie, 14) gatunek piasku.

A. Kałmanowicz k.l. II.

Kalendarz reportera.

3. IX. 36. Uroczyste nabożeństwo z okazji nowego roku szkolnego odprawił ks. proboszcz J. Romeyko.
19. IX. 36. Wycieczka młodzieży gimnazjalnej do pobliskiego lasu.
20. IX. 36. Uroczyste otwarcie świetlicy. Na program złożyły się atrakcje muzyczno-wokalne.
22. IX. 36. Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej odegrało dwie komedie: Bałuckiego „Połowanie na męża” i Popławskiego-Goplańskiego „Pokój do wynajęcia”. Dochód przeznaczony na remont kościoła parafialnego w Dziśnie.
- 23,24,25 IX.36. Uroczystość parafialna św. Tekli. Młodzież katolicka przystąpiła do spowiedzi i komunii św,

26. IX. 36. Zabawa taneczna urządzona w sali „Białego Gmachu“ staraniem kółka L. O. P. P. dla klas IV, VII, VIII. Dochód przeznaczony na fundusz L. O. P. P.
27. IX. 36. Zabawa L. O. P. P. dla klas I, II, III.
2. X. 36. Wyjazd reprezentacji Uczniowskiego Koła Sportowego „Placówka“ do Głębokiego i Świącian na mecz siatkówki i koszykówki.

Odpowiedzi Redakcji.

B. S. „Nowa ortografia, pożal się Boże!“ — nie zamieścimy. Gdyby zamiast utyskiwań, które powtarzają się w całej prasie niemal od roku, Autor podał swój „sztubacki“ sposób widzenia — może by to było coś ciekawszego.

A. M. „Powitanie“ — nieczytelne i nie opracowane — zbyt widoczny pośpiech.

L. Z. „Śmierć Zagłoby“ — wymaga opracowania: sam fakt jest podany jako niespodzianka, którą czytelnik jest zaskoczony.

R. J. „W kościele Jasnogórskim“ — dość słabe.

L. C. „Burza“ opis zupełnie poprawny. Autor nie pominął żadnego z rekwizytów tego efektownego zjawiska przyrody — ale stąd do artyzmu jeszcze droga daleka.

B. S. „Brednie“ — rzeczywiście! Lepiej nie umieszczać.

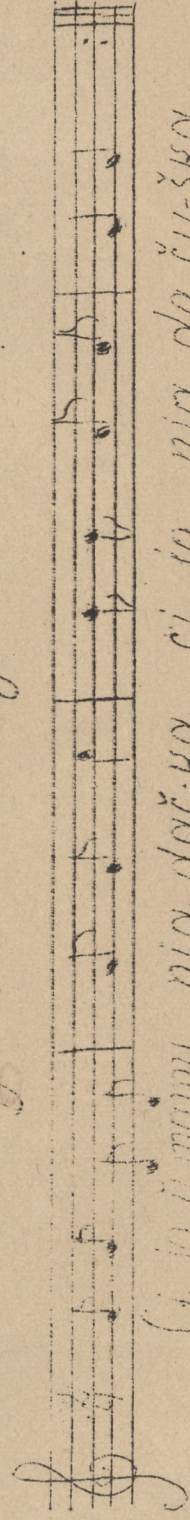
M. L. „Po wakacjach“ — temat trochę spóźniony.



Piesni regionalna.

z pmi brast-drišt.
zabral M. Masienko,
uez kl. M. ze wsi Bobost.

Si ja ū mamy nia dačka.



Si ja ū mamy nia dačka, si ja nia da čuška
Cyrija matki nie cór-ka, cyrija nie só-rečka.

Rusa kua pa pajas,
Sudompa istuška.

Rusa kua du-piaty,
Sto sibeta to j swaty.

Jasny wotkora az do pasa,
Zedubna wstozekka.

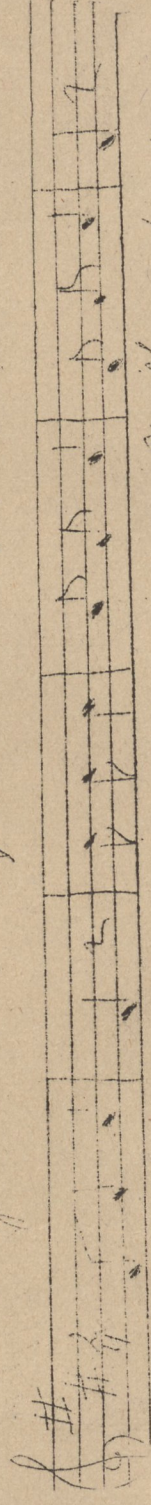
Jasny wotkora do stopa,
Da w soboty sez jaz swaty.

М
ДАЧКА.

zabral L. Kusnicionna
uez kl. M. ze wsi Lapunowo



Prystaj bache Jurku hro-šy, Gryslaj bache



Jurku hro-šy, Jurku hro-šy, prystaj Jurku hro-šy.

Kab kupiŭ sobie ščablety
Ščablety, kupiŭ ščablety.
Jurka bache i xiaŭ pasluchoŭ,
Pasluchoŭ, ja ho pasluchoŭ,
Ū xiaŭ kupiŭ sabie ščablety,
Ščablety, kupiŭ ščablety.
Bierahi swoje ščablety,
Ščablety, swaje ščablety.

Prystaj oŭce jukim-pimnych
Gremyokre, prystaj pimnyk.
Aby kupiŭ sobie buty.
Buty, kupiŭ buty.
Yurk oŭca wnet usluchal.
Usluchal, go usluchal.
Yurk kupiŭ soŭie buty,
Buty, kupiŭ buty.
Cwaczekoj swoje buty,
Buty, swoje buty.



051579

Opiekun pisma:
prof. W. CHMIELEWSKA.

Redaktor naczelny:
BUJONEK JÓZEF (VIII).

Zastępca Redaktora:
SZUBICZ BEJRACH (VIII).

Członkowie Komitetu Redakcyjnego:
PUCIATÓWNA MIROSLAWA (VII).
CYTOWICZ LEONID (VIII).
RYNDZIONEK JÓZEF (VII).

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Zastrzega się zmianę w rękopisach.
Pseudonimów nie uwzględniamy.
Prenumerata roczna:

z przesyłką . . . 1 zł. 25.
bez przesyłki . . . 1 zł.
cena pojedynczego Nr. 25 gr.

Cena ogłoszeń zależnie od umowy.
Prenumeratę należy wysłać pod adresem Redakcji.
Adres: Redakcja „Naszego Głosu“ (przy gimnazjum), Dżisna,
ul. Piramowicza 1.

**KSIĘGARNIA
POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
w D Z I Ś N I E**

**zaopatruje młodzież
w książki szkolne
oraz we wszelkie przybory
piśmienne.**



FIRMA GREJNIMANA w Dziśnie

dostarcza po cenach fabrycznych

radioaparaty „Radiofon“ trzylampowe za 76 zł. i in.,

radiosprzęt, baterie anodowe i kieszonkowe,

żarówki elek., akumulatory, inst. muzyczne i t. p.

**Po gruntownym odrestaurowaniu
zakładu fotograficznego**

oczekuję łaskawych zleceń od P. T. Klientów,

przyjmuję również wszelkie prace amatorskie,

dla uczniów specjalne zniżki

Art. fot. EPSZTEJN w Dziśnie.